

# DZIS: JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 30 kwietnia 1950 r.

Nr 17 (231)

**TREŚĆ NUMERU:** Antoni Podsiad — Notatnik z Chlewisk nad Wieprzem; Mieczysław Kurzyna — Punkt dziesiąty — szkoła; Artur Hutnikiewicz — Żywoć na miarę wieczności; Humor staropolski — podał do druku B. M. Długoszewski; Jerzy Zagartowski — Drogi i bezdroża „Komedii ludzkiej”; Bela Menczer — Przekonania religijne Balzaka, Stanisław Kolbuszewski — Człowiek który był uniwersytelem; Na półkach księgarskich: Adam Weber — Płk. Willoughby wygrywa wojnę dla siebie; J. Semenka — O drzeworycie; J. S. — Ilustracja w oczach estetyka; Tydzień kulturalny: (t.b.) — Kłopoty z nauką o teatrze; Stanisław Podlewski — Ruch wydawniczy; Helena Modrzejewska do Anny Wolskiej; M. — Komedia satyryczna czy farsa; Leszcz — Postulaty; Tadeusz Mazowiecki — Burżuazja i „Po prostu”; Co piszą inni...

Bolesław Piasecki

# SKALA WYDARZENIA

Kościół Katolicki jest wieczny. Prawda ta dla katolików jest zarówno przedmiotem wiary, jak i sprawą dwudziestowiekowego doświadczenia. Marksisci, nie wyznając prawd wiary, odrzucają tezę o wieczności Kościoła. Tym niemniej dla obu stron pozostaje faktem, że rewolucja socjalistyczna nie zetknęła się z inną organizacją, która by miała za sobą prawie dwa tysiące lat istnienia. Tutaj też tkwi dramatyczność spotkania się marksizmu z katolicyzmem. Z jednej strony występuje pełny masowej dynamiki ruch rewolucyjny, ruch, którego wytyczną i praktyką jest dążenie do zmiany wszystkiego na lepsze. Marksizm czerpie pełną dłoń z doświadczeń wszystkich epok po to jednak, aby te epoki odrzucić. Dla prawdziwego bowiem rewolucjonisty całe poprzednie czasy były tylko przygotowaniem do właściwego okresu rozwoju ludzkości, do epoki — socjalizmu. Ten żywiołowy, wszechstronny pęd rewolucji do zmian spotyka się z nastawieniem Kościoła Katolickiego, który jest depozytariuszem niezmiennych prawd i trwa poprzez wszystkie wieki. Marksizm ma tendencję do traktowania Kościoła jako jednej z instytucji, które przeżyły się wraz z minionymi okresami, Kościół Katolicki traktuje rewolucję marksistowską jako jedną z rewolucji, których wiele już przeżył w ciągu swego dwudziestowiekowego trwania.

Tym niemniej są dwa powody do zastanowienia. Dla marksistów — że rewolucja nie spotkała organizacji, która trwa już dwa tysiące lat. Dla katolików — że historia nie zna rewolucji, która mobilizowałaby dusze ludzkie na całej kuli ziemskiej w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Fakt uregulowania stosunków między Kościołem a Państwem w Polsce trzeba widzieć przede wszystkim na powyższej szerokiej płaszczyźnie. Kościół Katolicki za pośrednictwem Episkopatu Polskiego wyraził w zawartej umowie swoją wolę i wiarę w możliwość pełnienia swej misji w epoce socjalizmu. Umowa bowiem zawiera w sposób niedwuznaczny przyjęcie przez Kościół do wiadomości istnienia rewolucji socjalistycznej. Światowy ruch rewolucji marksistowskiej przez

swych przedstawicieli w Polsce stwierdził zarówno przez fakt dwustronnej umowy, jak i w treści przyznanych swobód światopoglądowych Kościołowi, decyzję traktowania indywidualnego instytucji Kościoła Katolickiego w stosunku do form organizacyjnych, które przekazały minione epoki. Publicystyka naszego środowiska posługiwała się w określeniach wagi zawartego układu przymiotnikiem „historycznym”. Rozumowanie powyższe miało na celu wykazać, że nie popełniłmy nadużycia wielkiego słowa. Przeciwnie, wielkie słowo zostało użyte do określenia wielkiego faktu.

Fakt umowy i jej treść będzie przedmiotem analizy i zastanowienia się katolików i marksistów we wszystkich narodach. Umowa reguluje stosunki polskie, ale znaczenie ideologiczne posiada uniwersalne.

Kościół Katolicki posiadał, bądź posiada w krajach kapitalistycznych pewną sumę praw nabytych, odnośnie rzeczy doczesnych. Prawa te wyrażają

się zarówno w formie majątkowej, jak i w postaci uprawnień udziału w życiu publicznym państwa. Jest rzeczą prymitywnej obserwacji stwierdzić, że zakres tych uprawnień w krajach Demokracji Ludowej ulegał procesowi stałego kurczenia się. Zawarta umowa daje gwarancję nie tracenia stanu posiadania na rzecz Państwa na drodze prawnej. Za moment określenia stanu posiadania przyjęto datę podpisania uregulowania stosunków. Jest dowodem mądrości polskiego Episkopatu, że spostrzegł już w roku 1950, że tytuły posiadania z okresu kapitalistycznego straciły w okresie rewolucji moc obowiązującą. Dopiero uznanie faktu istnienia rzeczywistości socjalistycznej stwarza dla Kościoła warunki urzędowania się doczesnego w ustroju rewolucyjnym. Z nadzieją oczekują polscy katolicy wyciągnięcia wniosków z tej zasady przez Kościół Katolicki w Czechach i na Węgrzech, skąd dochodzą nas stale wiadomości, przejmujące troską i niepokojem. Episkopat Polski w

decyzji swojej nawiązał do najlepszych tradycji Kościoła Katolickiego w Polsce do czasów związanych z nazwiskiem arcybiskupów Trąby i Świnki, kiedy to Kościół Katolicki w Polsce miał pozycję przodującą, w stosunku do innych narodów i cieszył się autorytetem w Kurii Rzymskiej.

Kuria Rzymska w swoim postępowaniu w sprawach doczesnych nie może się inaczej ustosunkować do Episkopatów poszczególnych narodów, jak na podstawie osiągniętych przez nie wyników. Episkopat Polski, rozwiązując w zakresie właściwej mu samodzielnej kompetencji jeden z najtrudniejszych problemów, w ostatecznej konsekwencji może tylko pomóc Stolicy Apostolskiej. Jest rzeczą oczywistą, że mimo aktualnych stosunków zbliża się dzień, w którym Kuria Rzymska spostrzeże że fakt niecelowości wiązania się z konserwatywnymi wpływami niemieckimi i amerykańskimi. Stworzenie dowodu, że jest możliwość doczesnego urzędowania się Kościoła w kra-

jach socjalistycznych jest wielkim krokiem w kierunku uwolnienia się Kurii Rzymskiej od szkodliwych dla zadań Kościoła wpływów kapitalistycznych.

Tylko te umowy i akty publiczne mają w życiu narodów rzeczywistą wagę, które są wyrazem rozwijających się a nie zamierających potrzeb mas. Stąd porozumienie między Kościołem a Państwem w punktach zawartych umową nie może demobilizować psychicznie nikogo, komu idea tego porozumienia jest naprawdę bliska. Uregulowanie stosunków między Kościołem, a Państwem nie tworzy sielanki światopoglądowej, nie zaciera różnic filozoficznych między marksizmem a katolicyzmem. Uregulowanie stosunków między Kościołem a Państwem, tworzy natomiast warunki do tego, aby współzycie odrębnych światopoglądów w jednej społeczności narodowej i państwowej przebiegało w sposób najbardziej korzystny dla jej interesów. Odpowiedzialność za wykonanie porozumienia spada nie tylko na Hierarchię i Rząd, ale i na te postępowe środowiska katolickie, których programem było uregulowanie stosunków między Kościołem a Państwem. Odpowiedzialność tę należy pojąć konkretnie.

Kierując się dobrem Kościoła i narodu, trzeba mieć odwagę opowiedzenia się politycznego po stronie obozu rewolucji. Przy pominamy, że gdy „Dziś i Jutro” głosiło w obozie katolickim szkodliwość dla interesów narodu i niemoralność polityczną wysługiwania się za pośrednictwem konspiracji wywiadom obcym, było to przedmiotem zgorszenia dla wielu. Przypominamy, że gdy prasa nasza głosiła potrzebę maksymalnego udziału katolików w odbudowie państwowości Polski Ludowej, uważano, że nadmiernie angażujemy katolicyzm. Drukowane przez „Słowo Powszechne” artykuły, wysuwające postulat starań o normalną administrację kościelną na Ziemiach Zachodnich, określano czasem jako nadmierne niepokojenie Hierarchii. Zaangażowanie się naszego środowiska w przedstawianie wojny jako klęski dla interesów narodu polskiego wywołało złośliwości i rozporyczenie u wielu polemizujących z nami. Minęło jednak pięć lat i Episkopat, „mający na wzglę-

## Wytyczne

*Tegoroczne uroczystości pierwszomajowe obchodzimy w niezwykłych okolicznościach. Nigdy może jeszcze, od chwili przeprowadzenia hitlerowskiego najeźdźcy ze spoleniu polskiego świata pracy nie towarzyszyło tyle okoliczności jednoczących co w tym roku, roku normalizacji stosunków między Kościołem a Państwem.*

*Na wstępnym etapie realizacji Planu Sześcioletniego, w okresie uintensywnionej walki o pokój — tradycyjny obchód ruchów politycznych opartych o odmienny niż nasz światopogląd jest równocześnie potężną manifestacją w której obok marksistów udział biorą katolicy umocnieni w poczuciu swej współodpowiedzialności za budowę nowej Polski przez najbardziej autorytatywne orzeczenie naszego Episkopatu.*

*W konsekwencji podpisanego niedawno Porozumienia obowiązek zgodnej z mianem katolika ofiarnej służby Polsce Ludowej — uzyskał sankcję o tak niepoślednim ciężarze gatunkowym, że nawet w odniesieniu do naszych, polskich warunków dla pełnej oceny jej historycznego znaczenia po prostu brak perspektyw. W poczuciu własnej odpowiedzialności wobec oczekujących podjęcia zadań możemy jednak już dzisiaj ustalać kontury drogi na jakiej w sposób najskuteczniejszy winna być pełniona służba wiecznej misji Kościoła. Kierunek znamy, ostateczne orzeczenie naszej Hierarchii Kościelnej ustala go całkiem wyraźnie. I niesposób tej decyzji naszych władz duchownych pojmować inaczej niż jako przypomnienie, że zadawałając nie można wypełniać swych obowiązków wobec społeczności religijnej jeżeli się zaniedbuje powinności wobec własnej Ojczyzny, jeżeli się zaniedbuje służbę słusznym pokojowym i społeczno - gospodarczym ideom w społeczeństwie.*

*Dzień pierwszego maja, niedawną ustawą został podniesiony do godności święta państwowego. Dzień pierwszego maja jest symbolem hołdu składanego pracy ludzkiej, która winna stanowić główny fundament nowego świata, mającego wyrosnąć na gruzach starego porządku opartego na wszechwładzy siły i niesprawiedliwości społecznej.*

*Jako katolicy, wierni tradycji naszego światopoglądu, który godność pracy jako czynnika zbliżającego człowieka do Stwórcy zawsze wywyższał — weźmiemy udział w uroczystościach pierwszomajowych, żeby dać wyraz przekonaniu, że istotny sens Porozumienia pojęliśmy należycie. Weźmiemy udział w obchodzie, żeby zadokumentować, że walka o pokój i o ustrój zapewniający człowiekowi wolny i wszechstronny rozwój jest nam szczególnie bliska.*

dzie dobro Kościoła i współczesną polską rację stanu” uważa za celowe podać całemu społeczeństwu katolickiemu wszystkie powyższe tezy jako założenia pozytywne dla jego interesów. Sytuację polityczną tworzą aktualne potrzeby wewnętrzne i międzynarodowe narodu. Ten służy istotnie sprawie, kto ma odwagę reagować na te potrzeby szybko i z łecydowaniem. Apelujemy do wszystkich środowisk i jednostek katolickich, aby nie szły w ogonie wypadków i nie akceptowały faktów, za które kto inny wziął już odpowiedzialność, ale aby w przyszłości „mając na względzie dobro Kościoła i współczesną polską rację stanu” fakty te stwarzały.

Trzeba odważnie przyjąć spór światopoglądowy z marksistami i wykazać im, że być wierzącym katolikiem, to nie znaczy być reakcjonistą. W wygraniu tego zagadnienia widzimy możliwość rozwoju w przyszłości swobód zagwarantowanych Kościołowi w ostatniej zawartej umowie z Rządem.

Istnieje w wielu środowiskach katolickich pogląd krytyczny, wyrażający obawę, że katolicy nie doceniają własnej siły. Opinię tę można by sformułować następująco — mamy własną prawdę, mamy dwa tysiące lat istnienia, pocóż przekonywać marksistów, pocóż zajmować się tym, co oni o nas sądzą. Te obawy katolików o kompleks niższości wobec marksizmu odrzucamy i odpowiadamy, że trzeba się zajmować opinią marksistów o katolicyzmie i to z dwóch prostych powodów. Po pierwsze dlatego, że marksści tworzą historię współczesnego świata. Jest to chyba fakt oczywisty, któremu nikt nie zaprzeczy. Po drugie dlatego, że nie umiemy widocznie użyć całej jedynej pełni katolicyzmu przeciwko własnym błędom, skoro opinia marksistów o katolicyzmie jest niewłaściwa.

Wracamy do problemu zasadniczego. Trzeba odważnie przyjąć spór światopoglądowy z marksistami i wykazać im, że być wierzącym katolikiem, to nie znaczy być reakcjonistą. Współczesny marksizm przesądza to zagadnienie pozytywnie, twierdząc, że katolicyzm łączy się z postawą reakcyjną. Stan ten nam nie odpowiada i musimy się podjąć trudnego zadania jego zmiany. Marksści widzą dwa powody wiary: za-bobon i duchowy oportunizm.

Problem zabobonu. Musimy ogromną pracą intelektualną i wychowawczą przyczynić się do olbrzymiego dzieła likwidacji postawy fideistycznej w katolicyzmie polskim. Każdy wysiłek w kierunku uprzystępnienia prawd naszej wiary w jej czystości ewangelicznej bez naleciałości anachronicznych, jest najlepszym sposobem polemiki z marksizmem. Zwalczanie obskurantyzmu w każdej formie jest nakazem chwili.

Problem duchowego oportu-nizmu. Marksści twierdzą, że ludzie, których wiara jest świadoma, wyznają ją z przyczyn obawy przed nicością. Przy-jemnie jest istnieć po śmierci, twierdzą marksści, lecz hero-icznie jest być dobrym i nie li-czyć na żadną nagrodę. Przy-jemnie jest istnieć po śmierci, gdyż wtedy można emigrować z życia społecznego, uchylać się od zadań przemieniania świata znojną pracą w kierunku po-

stępu. Najważniejszą jest troska o własną duszę, świat może w tym zadaniu tylko przeszkodzić, więc należy się od niego izolować. Trzeba ogromnego wysiłku ze strony katolickiej w kierunku wyciągnięcia konsekwencji społecznych z Ewangelii, aby powyższe zarzuty marksistów stały się równie nieuzasadnione w praktyce, jak są w teorii. Nie można katolicyzmu wyjaśniać przeciw zarzutom reakcyjności powoływaniem się na teksty Ewangelii i dokumenty wybrane z historii dwóch tysięcy lat Kościoła. Katolicy współcześni muszą w swej praktyce życiowej być

czynnikami postępu, muszą w życiu społecznym być bezwzględnie i konsekwentnie bojownikami o likwidację wyzysku człowieka przez człowieka, likwidację niesprawiedliwości społecznej i likwidację braku etyki w stosunkach międzynarodowych. Tylko fakty się liczą. Jeśli w społeczeństwie katolickim zniknie postawa fideistyczna, jeśli nastąpi praktyczne realizowanie społecznej miłości chrześcijańskiej, wtedy nie sposób będzie wiązać postawy katolickiej z reakcyjnością. Wtedy też w stosunkach między marksistami i katolikami przestanie istnieć za-

gadnienie dyskryminacji z powodu posiadania łaski wiary lub jej braku, a powstanie potrzeba możliwie doskonałego urzędowania doczesnego świata.

Postawiliśmy sprawę uregulowania stosunków między Kościołem a Państwem w skali ideologicznej. Na pewno aktualnie rzecz biorąc, najważniejszą jest rzeczą, aby duchowieństwo w swej pracy duszpasterskiej znalazło sposób zastosowania pierwszych dziewięciu punktów umowy. Postawa duchowieństwa wobec rzeczywistości Polski Ludowej musi być pozytywna w tak konkretnym zakresie w jakim określił ją Episkopat. Rów-

nie potrzebną i pilną kwestią jest rozwiązanie przez władze państwowe praktycznych problemów wynikających z ostatnich dziewięciu punktów i związanych do nich aneksów. Lokalne władze administracyjne muszą wykonywać decyzje Rządu w duchu zagwarantowanych przezeń Kościołowi uprawnień.

Tym niemniej zasadniczą perspektywą zawartej umowy wymaga ze strony katolickiej zasadniczej mobilizacji ideologicznej w kierunku nadchodzącej epoki socjalizmu. Zadaniu tej mobilizacji nasz zespół będzie służyć.

Bolesław Piasecki

Antoni Podsiad

## Notatki z Chlewisk nad Wieprzem

Nie każdy potrafi napisać takie zdanie:

— Dałby Bóg, żeby buk przepłynął przez Bug.

A jeszcze trudniej jest napisać:

— Nie pieprz Pietrze wieprza pieprzem, bo przepieprzysz Pietrze wieprza pieprzem.

— Tego Wieprza nie przepieprzę  
Ani pieprzem, ni czem lepszem.

Piotr ma rację... Bo ten Wieprz różni się od innych wieprzów między innymi i tym, że ma lekkiego kręćka. Ryje zygakiem, potem nagle się cofa, robi nagły skok, zakręt, aby potulnie rozciągnąć się wzdłuż Chlewisk.

Tak. Wieprz ma lekkiego kręćka.

Nakrapiany łatkami głębin na tle żółtych mielisz, najeżony rudą szczecinią trzcin. Brak tylko pchełki — łódki, która by się zgręcznie przebiegała wśród sterzącej szczeciny! Jest wprawdzie jakaś półzatopiona, prehistoryczna krypa. Byłaby może cennym eksponatem muzealnym, tymczasem jest wylęgarnią żab.

Gdyby słońce było nieco zaczerwienione, sprawiałoby wrażenie, że usiłuje obetrzeć z twarzy pot chusteczką z pomiętej chmurki.

Po tej stronie rzeki gromadka wiejskich chłopców. Kąpią się. Plusk do wody, murk w piasek. Wymarowali się mokrą gliną. Czekoladowe pajace.

Gdyby nie oczy jak chabry, gdyby nie czupryny jak wiechcie słomy — myślałbym, że przyglądam się chłopcom malajskim.

Gdyby nie nikiel topolowych listków, gdyby nie delikatna firanka wierzbowa — myślałbym, że jestem w egzotycznym kraju.

Wiejska zagadka: — Szeł bez most Świsłał i Gwizdał; wcale nie świsłał, wcale nie gwizdał, no, ale mówię wam: szeł bez most Świsłał i Gwizdał.

Chłopcy zgadują, nie mogą. Pięty wygniatają dolki w piasku, chłopaki jak błyszczące kłuski z błota spadają do wody. Kto by się chciał w taki czas głowić nad zagadkami!

Po drugiej stronie rzeki sad. W sadzie śpiewa dziewczyna:

— O maryjanko  
Z czerwonymi skrzelami...

Twarz dziewczyny pachnie słońcem i mlekiem. W gałęzie brzemienne owocem wplotła Maryś włosy. Dziw, że na warkoczach nie rosną rumiane jabłka.

Nie wiem, jak to jest z tym „Świsłałem i Gwizdałem”. Wiem tylko, że z jednej strony nasze siostry rosną w sadach, z drugiej strony czekoladowi chłopcy, a po środku „słońce dzwoni w rzece z rozbłyskanych blach” (gdybyś to widział kochany Czechowiczu!).

— Widzi pan, z tymi naszymi Chlewiskami to było tak: Szedł przez wieś chłop, błoto po kolana, tak jak i teraz co roku. Chłop ugrzązł po cholewy:

— Błoto po cholewiska — to prawdziwie Chlewiska!

Moim inteligentnym rozmówcą jest wiejski muzykant. Muzykant — kompozytor — poeta. Układa melodie i teksty piosenek. Bardzo popularna postać wśród okolicznych wiosek. Ma potłuszczone, polatane harmonie. Klawisze od basów podorbiane są z korków od flakoników po perfumach.

Poza tym jest jeszcze fryzjerem, strzyże całą wieś.

Mój znajomy wydusza ze swej harmonii melodie śpiewane w polu, stodole, na zabawach.

A jaki ma zjadliwy język! Nie uchowają się przed nim stare panny, pyskate baby, bogate a skąpe chłopcy. Wierszyki krązą po całej wsi.

O kulaku słynnym z brudów i niechlujstwa:

„Niedaleko Lubartowa, oj mieszka sobie P...owa, oj Ma kaszarnie i motory, oj Do izby wejść — jak do obory ojoj...”

W tej chwili właśnie wybiera się na zabawę do Woli. Bez niego nie obejdzie się zabawa. Rozwodzi się nad tym, że teraz tak mało na zabawach chłopaków.

— W Woli, to jest aż sto dwadzieścia panien. Nie brak po wojnie tego nasienia.

Jak dobrze. Słuchać serenady pasikonika.

— Już myślałem, że nie ma wolnego śpiewu.

Jak dobrze. Pić miód słonecznych promieni.

— Już myślałem, że nie ma szczodrośliwego słońca.

Jak dobrze. Zbierać w lesie poziomki.

— Już myślałem, że nie ma lasu.

Jak dobrze. Być spokojnym śpiąc w sianie.

— A ja głupi myślałem, że nie ma dobrych ludzi.

Warkocze mrówek. Jeden rudy, drugi czarny. Gasienice nóg. Bagnety żądel. Mechanizmy szcęk. Maszyny łożuch. Chitynowe pancerze.

Mrówki - żołdaki wodzą się za tułowiem, rozpruwają odwłoki, ukręcają główki, wylamują nóżki.

Mrówki - sanitariusze unoszą jaja.

Dachau koników polnych. Gehenna mszyc. Mrowisko — Oświęcim.

A ludzie? Budują najdoskonalsze z mrowisk. Oświęcim za-

mienili na muzeum. Wiatraki — te rekwizyty przeszłości — machają skrzydłami na świeżym wietrze przesyłając ostatnie pozdrowienia.

Mówi się: człowiek pracowity jak mrówka. Teraz powinno się mówić: mrówka pracowita jak człowiek.

Kapliczka jest wydrążona w jednym pniu. W kapliczce stoi wiejski świątek — dzieło noża wiejskiego artysty.

Jakże ten świątek podobny do oracza. Do twarzy wiejskiej komornicy na przednówku. Do rąk kopiących ziemniaki. Do szarych, popękanych pęt.

Założyć tylko temu świątkowi robocze portki, słomiany kapelus, włożyć w ręce kosę.

Ptaki siadają na kapliczce i stukają dzióbkami w pień. Wiejski świątek wodzi spróchniałym palcem po czerwonej twarzy księżycy.

ANTONI PODSIAD



Mieczysław Kurzyński

# PUNKT DZIESIĄTY — SZKOŁA

Dziesiąty punkt Porozumienia zawartego między przedstawicielami Rządu RP i Episkopatu Polski w dniu 14 kwietnia 1950 roku dotyczy uregulowania stosunków na odcinku szkolnictwa katolickiego i wychowania religijnego młodzieży. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że z punktu widzenia katolików te kwestie mają nie tylko doniosłe znaczenie. Jeśli Kościół jest rozdawcą łaski, jeśli chce nadprzyrodzone stanowić Jego istnienia, to przecież misja nauczycielska Kościoła stanowi podbudowę tych treści, a misja o możliwość jej wypełnienia była często wyznacznikiem stosunku katolików do zagadnień politycznych. Z samej swojej natury Kościół, troszcząc się o zbawienie duszy, musi uważać wychowanie młodzieży za jedno ze swych zadań podstawowych i dlatego z jak największą uwagą śledził wypadki zachodzące w szkolnictwie po wojennym, odbudowującej się polski.

A wypadki te nie były błahe. Szkoła polska przebudowana w nowej strukturze organizacyjnej, związana została z rewolucją dokonywającą się w kraju. W praktyce oznacza to, że „obiektywizm” i „elektywizm” w nauczaniu ustąpił miejsca czynnikom światopoglądowym, że program nauczania poszczególnych przedmiotów został przebudowany i zastąpiony nowym, a mianowicie o marksistowsko-leninowski pogląd na świat. Szkoła w 6 roku polskiej rewolucji stała się nie tylko integralną częścią walki o realizację planu sześcioletniego, ale i ostatecznym polem odpowiedzi na kadry fachowców i to fachowców w ideowych, marksistów. Cały wysiłek władz szkolnych od Ministerstwa Oświaty, poprzez kuratorów, Związek Nauczycielstwa Polskiego aż do inspektoratów i poszczególnych dyrektorów szkół w tym idzie kierunku.

Nie dziwnego, że wobec zasadniczo odmiennych stanowisk doktrynalnych — trudności między przedstawicielami Rządu RP, a przedstawicielami katolicyzmu były poważne. Nie ostatnią rolę w tych zagadnieniach odgrywały poglądy rodziców. Można zaryzykować twierdzenie, że zawsze istnieje potencjalny konflikt między rodzicami, a szkołą. Wychowanie publiczne i wychowanie domowe może się uzupełniać i często jest harmonijnie powiązane. Ale takie harmonijne ułożenie wymaga wiele wysiłku. Zasadniczo istnieją raczej przeciwieństwa. Dom wychowuje tradycyjnie, a więc zarazem tradycyjnie i konserwatywnie. Szkoła oparta jest o dydaktykę i pedagogikę naukową, a więc nie napróżd. Stąd częste konflikty w każdym państwie i w każ-

dym ustroju, które rzecz prosta mogą nabierać drastyczności w okresach rewolucji. Tak czy inaczej zastanawiając się nad 10-tym punktem Porozumienia, czynnikom domu należy uwzględnić także, gdyż może stać się on zarówno ułatwieniem wykonania układu, jak przy niesprzyjających warunkach przeszkodą i to przeszkodą trudną do zwalczenia.

## JAK TO SIĘ STAŁO?

Przedstawiona przed chwilą sytuacja na odcinku szkolnictwa mimo woli nasuwa pytanie, jak wobec niewątpliwych trudności potencjalnych mogło dojść i doszło do postanowień punktu 10-tego, jak w ogóle możliwe było zawarcie Porozumienia.

Odpowiedź na to pytanie kryje się w analizie samego tekstu Porozumienia, a także w zrozumieniu celu działalności każdej z układowych stron.

Wstęp do Porozumienia między Rządem RP i Episkopatem Polski zaczyna się od słów:

„W celu zapewnienia Narodowi, Polsce Ludowej i jej obywatelom najlepszych warunków rozwoju oraz możliwości wszechstronnej i spokojnej pracy”...

I tu jest klucz do zrozumienia sprawy. Cel obu stron w stosunku do Narodu jest jeden, choć różne są sposoby jego realizacji i różne rozumienia poszczególnych fragmentów. Nie ulega natomiast wątpliwości, że troska o obywatela, o przyszłość Polski, o Naród decydowała i pozwoliła znaleźć wyjście z antynomii, nieufności i konfliktów. Pozwoliła także sformułować punkt dziesiąty.

Ze strony Rządu RP jest on konsekwencją dwóch założeń: deklarowanego niejednokrotnie poszanowania wolności religijnej i przekonania, że obywatel — katolik jest takim samym współuczestnikiem budowy kraju, a praca jego takim samym czynnikiem rozwoju Polski Ludowej jak trud obywatela wyznającego marksistowski pogląd na świat.

Za prawnymi — politycznymi terminami poszczególnych punktów układu kryje się przekonanie, że zasadnicze nawet różnice światopoglądowe nie mogą być przeszkodą w pracy dla Narodu. Gdyby nie te założenia — nie byłoby układu.

Ze strony Episkopatu powiedziane zostało mocno i bez ogródek, że wytyczną w podpisywaniu porozumienia była „współczesna polska racja stanu”. Wieczne posłannictwo Kościoła Katolickiego, którym jest chrystianizacja świata — na gruncie polskim może być realizowane wówczas, gdy zapewniony jest byt państwowy i rozwój życia narodowego, gdy racja stanu nie jest naruszona. Dlatego Episkopat uznał państwowy punkt widzenia i to nie tylko we wstępie, ale we wszystkich dziedzinach pierwszych punktach porozumienia.

Punkt dziesiąty jest konsekwencją powyższych założeń i jak powiedziano na początku ma znaczenie zasadnicze dla rozwoju katolicyzmu w Polsce. Wagę jego powinni odczuć szkoły katolickie, prefekci, rodzice i młodzież na co dzień. Trzeba jednak zawsze pamiętać o założeniach, które go umożliwiły i umieć ocenić wagę i dojrzałość ludzi, którzy potrafili zdobyć się na decyzję przejścia ponad trudnościami przy zachowaniu całej czystości stanowisk ideowych.

## KONSEKWENCJE PRAKTYCZNE

Pięć paragrafów punktu 10-tego omawia kolejno poszczególne zagadnienia związane z nauczaniem religii, istnieniem szkół katolickich, programem nauczania, wydaniem podręczników itp. Warto rozpatrzyć szczegółowiej ich konsekwencje.

Paragraf a) ustala zakres nauczania religii we wszystkich szkołach, wszystkich typów i stopni. Rząd gwarantuje w nim status quo zakresu pracy katechetycznej i zapowiada wspólne z przedstawicielami Episkopatu ustalenie treści nauczania, przez wspólne opracowywanie programów i podręczników. Nauczyciele religii będą zrównani w prawach z nauczycielami innych przedmiotów, wzytatorzy powoływani będą w porozumieniu z Episkopatem.

W sensie politycznym — ideowym paragraf a) jest określeniem stosunku Państwa Ludowego do religii i ostatecznym zamknięciem tuby propagandy zagranicznej o niemożności nauczania religii w Polsce.

Co jednak najważniejsze, paragraf a) wraz z paragrafami b) i e) zapewnia rodzicom-katolikom możliwość wychowania dzieci zgodnie z nakazami naszej wiary. Dla sumienia katolickiego, ma toznaczenie ogromne. Choć bowiem i dotychczas nauka religii w szkołach istniała, postanowienia punktu 10-tego ustawiają tę problematykę w dynamice kraju dążącego do socjalizmu i stwarzają perspektywy na przyszłość. Perspektywy te są nader istotne. Oto w oparciu o najbardziej autorytatywną wypowiedź przedstawicieli Kościoła w Polsce, że „misja Kościoła może być realizowana w różnych ustrojach społeczno-gospodarczych” — zarysowuje się przed katolikami konieczność dokonania twórczej syntezy między zasadniczymi postulatami socjalistycznej koncepcji społecznej a socjalnymi konsekwencjami doktryny katolickiej.

Szkoły katolickie w Polsce Ludowej w pierwszym rzędzie muszą się stać terenem wypracowywania nowych wzorców wychowawczych opartych o taką właśnie syntezę, stanowiącą naszym zdaniem warunek sine qua non jej efektywnej działalności. I byłoby niewybaczalnym błędem sądzić, że Porozumienie stwarza mur ochronny dla jakiegoś swoistego getta w którym pod osłoną odmienności doktrynalnych będzie można hołdować przestarzałym nawykom przejętym mechanicznie w spadku po epoce mieszczańskiej. Pomijając całą nierealność podobnych interpretacji układu — takie dyskutowanie korzyści płynących z normalizacji stosunków równałoby się nie tylko politycznemu szkodnictwu, ale również i przede wszystkim oznaczałoby utrudnianie apostolskiej działalności Kościoła.

Paragraf c) i d) gwarantują istnienie dotychczasowych szkół katolickich i równają je w prawach ze szkołami państwowymi. I ta sprawa jest nader wyjątkowo istotna. Dzięki postanowieniom porozumienia znika dla rodziców katolików dylemat wyboru między szkołą „z prawami”, a szkołą wyznaniową.

Punkt 10-ty nie jest jednak tylko szeregiem uzyskanych praw. Punkt dziesiąty jest także zobowiązaniem. Dla dyrektorów szkół katolickich, dla prefektów i ka-

techetek, dla nauczycieli katolików jest zobowiązaniem podwojenia wysiłków w pracy, zwiększenia jeszcze troski o młodzież, dawanania jej naprawdę istotnych wartości wychowania katolickiego. Nastawienie nauczyciela i wychowawcy katolika musi być zgodne z duchem Porozumienia. Dopiero wtedy będzie on mógł wypełnić punkt 10-ty treścią.

A dla rodziców? — Tu poza tymi samymi koniecznościami, co w stosunku do nauczycieli nabiera racji zerwanie z formalistycznym stosunkiem do wychowania. Nie wolno przyjmować, że szkoła sama zrobi z dzieci katolików. Wychowanie domowe musi uzupełnić stałą pracę nauczyciela i ks. prefekta. Dopiero współdziałanie domu i szkoły katolickiej, przykład praktyk religijnych i postępowania rodziców na co dzień zagwarantują osiągnięcie celu.

Wreszcie młodzież. Życie religijne młodzieży zbyt często bywa po wierzchołkowe. Trzeba pamiętać, że ani lekcja religii, ani Msza św. nie są okazją do manifestacji. Ich cel jest wewnętrzny, dotyczy spraw duszy i jej dążenia do Boga. Pamiętajmy, że związek z Bogiem jest istotą katolicyzmu. Młodzież katolicka otrzymała gwarancje ogromne w państwie dążącym do socjalizmu. Musi wyrosnąć na pełnowartościowych jego obywateli, a zarazem na głębokich, świadomych hierarchii wartości w życiu katolików

## WARUNEK

Omawiając, bardzo zresztą ogólnikowo, zasady, które doprowadziły do porozumienia między Państwem, a Kościołem w Polsce przytoczyłem zdania wstępu, mówiące o polskiej racji stanu. Nigdy dosyć powracać do tej kwestii. Po rozumieniu przedstawicieli obu odmiennych postaw światopoglądowych, z których ani jedni, ani

drużdy nie zrezygnowali nawet na chwilę ze swoich przekonań, dokonały się w trosce o dobro Polski, a przy zagwarantowaniu przez Rząd RP Kościołowi spełniania Jego misji apostolskiej i przy przyjęciu przez Episkopat postawy politycznej uznającej w 9 punktach główne wytyczne polityki Rządowej. Po raz pierwszy w Europie przedstawiciele tak odmiennych doktryn, jak katolicyzm i marksizm znaleźli stwierdzenia wspólne, a nie jedynie kwestie dzielące.

Otóż po to by porozumienie wydało te rezultaty, które staną się dobrodziejstwem dla kraju, ta postawa musi być przyjęta przez całe społeczeństwo katolickie. Jeśli kiedy potrzebna jest dyscyplina i umiejętność rezygnacji z własnych, osobistych trudności — to właśnie w tym momencie. Nie wolno być „bardziej ortodoksyjnym” niż sama Hierarchia. Episkopat Polski powziął decyzję z najgłębszą powagą i historyczną odpowiedzialnością. Czyżby osobisty sąd nie może utrudniać wykonania Jego postanowień.

Porozumienie między Kościołem, a Państwem wymaga od społeczeństwa katolickiego takiej postawy dojrzałości, mądrości i odpowiedzialności jakie wykazał Rząd RP i Najdostojniejszy Episkopat przy jego układaniu. Sformułowania punktu 10-tego wymagają tego samego od nauczycieli i katolickich pracowników oświatowych. Nie wolno zepsuć wielkiego dzieła lekkomyślnością i głupotą. Rząd dał wyraz jego założeniu ideologicznemu polegającemu na faktycznym uznaniu wolności życia religijnego katolików w Polsce Ludowej. Episkopat stanął na gruncie przemian rzeczywistości Polski dążącej do socjalizmu. Ta postawa obowiązuje także nas wszystkich.

Mieczysław Kurzyński

Janusz Wencel

## Budowali Trasę...

Reportaż poetycki

Wojtkowi

Gwizd im ogłaszał pracę mozolną,  
czasem szept Wisły i poryw serca.  
Za zaduszonej przestrzeni wolność  
nowy się świder w filary wiercał.

Grała muzyka ludziom na moście,  
tańczyły mięśnie jak u gientarek.  
W rytm szpadli dziennik pisał Rojowski  
kierując Beton-Stalem.

Nic to, że przepadł pałac Tepera,  
musi być więcej w Warszawie nastaw.  
Kontrasty formy — różnica wieków  
— to też historia miasta.

Na lśniących karkach stalowych łuków  
robotnik malarz pokoleń  
okładał minią oszczędnym ruchem  
setki powierzchni, nitów i spojeń.

Przydługie cienie na rusztowaniach  
nie sięgną kresu sił przodowników.  
Oni w trud miasta są wmontowani,  
oni chcą tunel wykuć.

Ciężkie sprężarki tłukły po dłoniach,  
kruszarki z pasją siekły powieki...  
I to jest prawda przebita do nas  
o Budowniczym, Człowieku.

p. wyd. „Pax”, Inst. Wyd.

wysyła

BERNANOS  
OD SŁOŃCEM  
SZATANA

cena 950 zł

MARSHALL  
HWAŁA CORY  
ROLEWSKIEJ

cena 750 zł

EKE DRZEWORYTÓW  
DJCZE NASZ

K. WRÓBLEWSKIEJ

cena 1200 zł

o wpłacie na KONTO PKO

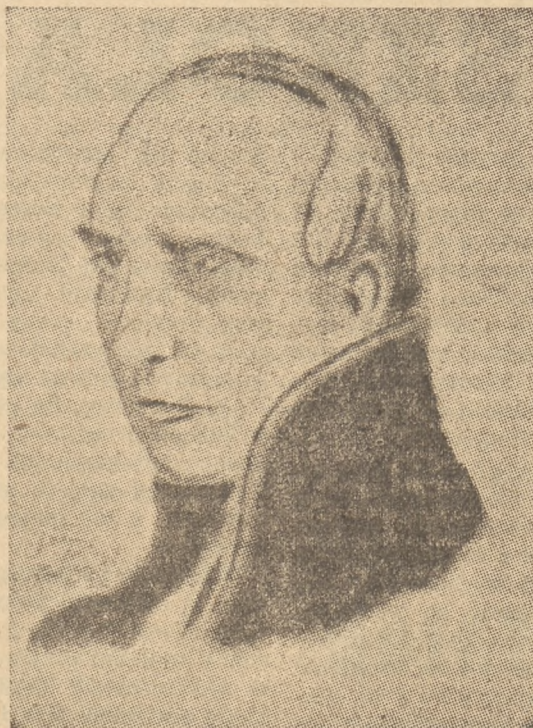
I-8515

P. WYD. „PAX” INST. WYD.

Artur Hutnikiewicz

# ŻYWOT NA MIARĘ

## (Stanisław



W liczny, doborowy gronie statystów i reformatorów polskich epoki stanisławowskiej, Staszic jest postacią szczególnie ujmującą. Pociąga zwłaszcza w jego życiu i dziele wyjątkowa, mimo pozornych sprzeczności, jednolitość, prostolinijność i konsekwencja w realizacji programu życiowego, w urzeczywistnianiu ideału. Stajemy przed jego postacią, która sama jedna stanowi całą epokę w dziejach kultury narodowej, z głębokim podziwem i z głębokim jednocześnie wzruszeniem. Życie nie oszczędziło mu bolesnych rozczarowań, przeżywał na pewno głębiej, niż ktokolwiek inny, wszystkie zawile konflikty i powikłania tragiczne tej przełomowej epoki, w której waliły się w gruzy nie tylko państwa i ustroje, ale całe światy myśli, pojęć i przekonań, stanowiących od wieków ostoję dla ludzkich dusz. W tym wielkim pomieszczeniu czasów, kiedy to wypadki rozwijały się z szybkością tak zawrotną, że można by ją porównać chyba tylko z tempem przemian świata współczesnego, Staszic nie stracił orientacji, nie zgubił pionu, toteż on jeden może spośród współczesnych miałby prawo zastanawiać się nad życiem swego. Ho racyjskie słowa o monumencie trwałym od spisu, gdyby nie pokora, która była rysem najznakomniejszego jego osobowości.

2.

Jest w postaci Staszica inny jeszcze rys znamieny, osobliwy: wielkoduszna bezinteresowność. Staszic, natura impulsywna i uczuciowa, kochał Polskę miłością tak namiętną, jak mało kto w tej epoce rozpętanych egoizmów lub salonowej powściągliwości. Nie zdarzyło się nigdy, aby powracając z którejś z licznych swych zagranicznych podróży nie przekraczał granic ojczyzny z najgłębszym wzruszeniem. Odkrywał w krajoznawstwie polskim, w przyrodzie czary i uroki gdzie indziej nie spotykane. Są w jego pismach fragmenty poświęcone pochwałom polskiej ziemi tak pełne uczucia i w raz, że przewyższają wszystkie, co na ten temat napisano kiedykolwiek w Polsce przedrozbiorowej. A że ta Polska za jego czasów była bardzo nieszczęśliwa i śmiertelnie chora, więc pragnął oddać jej wszystkie siły, zdolności, całą energię swej dynamicznej, czynnej natury. Lecz tu wyłoniły się przeszkody nie do przecięcia. Staszic był mieszczaninem, pochodził z Piły, kresowego zachodnio-pomorskiego miasteczka, gdzie ród jego od kilku pokoleń piastował zaszczytny urząd burmistrzów. Ale w Polsce ówczes-

nej nie przysługiwały mieszcza-  
nom prawa polityczne i nie mia-  
ło to żadnego znaczenia, że Sta-  
szic był jednym z najgłębiej wy-  
kształconych ludzi swojej epoki,  
Europejczykiem w każdym calu,  
że znał Włochy, Austrię i uniwer-  
sytety niemieckie, że studiował  
dwa lata w pierwszych uczelniach  
Paryża i że w pismach jego znaj-  
dujemy ślady rzetelnej znajomości  
i orientacji we wszystkich  
niemał zasadniczych problemach i  
sporach intelektualnych, jakimi  
żył ówczesny cywilizowany Za-  
chód. Przesady stanowe okazały  
się silniejsze od względów rzecz-  
cowych, walory umysłu i charak-  
teru nie stanowiły widać dostatecz-  
nej legitymacji, skoro aż do końca  
istnienia wolnej Rzeczypospolitej  
droga kariery i służby publi-  
cznej była dla niego zamknięta.  
I tu odsłania się nam wielkość  
i bezinteresowność Staszica. To  
nieusprawiedliwione, krzywdzące  
upośledzenie, które kogoś innego  
może by zniechęciło, napoiło go-  
ryczą i zobojętniało na sprawy  
publiczne, kazało zamknąć się w  
sferze osobistych tylko pożytków,  
dla niego stało się tym silniejszym  
bodźcem do czynu. A że działal-  
ność publiczna, konkretna, prak-  
tyczna była dlań niemożliwa, więc  
postanowił służyć ojczyźnie myślą  
i piórem. Jak całkowicie zaś obo-  
jętna mu była chwała osobista,  
jak ponad zadowolenie ambicji  
własnej kładł dobro sprawy ogól-  
nej, tego dowodem oczywistym  
anonimowość jego literackiej służ-  
by. Oba dzieła polityczne, stano-  
wiące fundament sławy pisar-  
skiej i obywatelskiej Staszica, zo-  
stały wydane bezimiennie, aby  
nie drażnić szlachty, że oto jakiś  
mieszczuch ośmiela się pouczać  
dobrze urodzonych.

3.

Staszic jest znany powszechnie  
przede wszystkim jako autor dwu  
dzieł politycznych: „Uwag nad  
życiem Jana Zamoyskiego“ i  
„Przestróg dla Polski“. Nie ma  
potrzeby przypominać w tym  
miejscu postulatów wyłożonego w  
nich programu. Są to sprawy po-  
wszechnie wiadome. Myśl refor-  
matorska Staszica biegnie tym  
samym łóżyskiem i rozwija się w  
tym samym kierunku, w jakim  
zmierzały wysiłki najbliższych je-  
go poprzedników, współczesnych  
i następców. Być może, że w szcze-  
gółach, w precyzji wywodów nie-  
jednemu z nich nawet ustępował;  
że nie miał np. nieomylnie wprost  
intuicji politycznej Kołłątaja i  
równiej mu dyscypliny intelektual-  
nej, to rzecz stwierdzona. Cokol-  
wiek byśmy jednak powiedzieli o  
merytorycznej wartości jego poli-

tycznej puścizny literackiej, jed-  
no jest pewne: objawił się w tych  
pismach człowiek o zdumiewająco  
wyczulonym sumieniu społecz-  
nym i obywatelskim, patriotą nie-  
skazitelnym, najgorętszy obrońca  
upośledzonych i śmiały oskarży-  
ciel sprawców zła publicznego.  
Nie o to nam jednak w tej chwili  
idzie. Jest w dziele, w postawie  
Staszica jedna jeszcze właściwość  
charakterystyczna, co go znowu  
wyróżnia, wyodrębnia spośród ple-  
jady pisarzy, ba, nawet poetów  
owego czasu: namiętność, płomi-  
ność uczuć. Trzeba odczytać z  
„Przestróg dla Polski“ słynną in-  
wektywę przeciw magnatom albo  
wspaniałą elegię o niedoli „rolni-  
ka w Polsce“, aby uświadomić  
sobie wyjątkowość zjawiska na  
tle kultury i literatury polskiej  
XVIII wieku. Ta druga połowa  
stulecia zadziwia intelektualną  
dojrzałością, sumienną uporczy-  
wością w przyswajaniu sobie zdo-  
byczy myśli europejskiej, nieustę-  
pliwą wolą naprawy błędów prze-  
szłości, ale jest w atmosferze cza-  
su jakiś chłód. Gdy płonęły umy-  
sły rozgrzane temperaturą intelek-  
tualnych sporów, serca mierały.  
Zaobserwować można najwyraź-  
niej to zjawisko na terenie piś-  
miennictwa doby ówczesnej. Jak-  
ież zimna wytworność, jakież  
chłód wieje z odmierzanych pre-  
cyzyjnie wykwinutą dłońią ma-  
drych stref Xicja Biskupa War-  
mińskiego lub zonglującego swo-  
bodnie słowem szambelana Jego  
Królewskiej Mości, Stanisława  
Trembeckiego. Jakież przerażające  
płytki jest w swoich łzawych i  
sentymentalnych smuteczkach je-  
dyny „poeta serca“ Franciszek  
Karpiński. Uczuciowość Staszica  
jest żywiołowa, gwałtowna, pate-  
tyczna, jest w niej coś z Rous-  
seau'a, co rewolucjonizował Euro-  
pę nie myślą, lecz erupcjami nie-  
ujarzmionego uczucia, i coś z ro-  
mantyków. I ten to autentyzm  
głębokiego przeżycia sprawia, że  
Staszica można dziś jeszcze czytać  
z przejęciem i wzruszeniem. Od-  
czytując jego wezwania, oskarże-  
nia, zaklęcia nawet teraz, po 150  
z górą latach słyszymy gwałtowne  
uderzenia tego wzburzonego  
do głębi serca, zakładającego pro-  
test przeciwko krzywdzie nie w  
imię egoistycznych, osobistych  
czy stanowych interesów, lecz w  
imię obrażonego poczucia ludz-  
kiej godności.

4.

O Staszicu mówi się w podręcz-  
nikach literatury w związku z ru-  
chem reformatorskim VXIII wie-  
ku. I w świadomości ogółu inte-  
ligencji polskiej postać autora  
„Przestróg“ kojarzy się nieroz-  
walnie z epoką Stanisława Augu-  
sta. Tymczasem Staszic żył jesz-  
cze po trzecim rozbiórce Polski z  
górami lat trzydziście, zmarł dopiero  
w 1826 r. i właśnie w tym czasie  
rozwinął najpłodniejszą i wszech-  
stronną działalność. O tej działal-  
ności mało się na ogół mówi i ma-  
ło wie, tymczasem szerokość i roz-  
ległość terenów, które przeorał  
Staszic samodzielnie niezmordowa-  
ną myślą, jest wprost imponująca.  
Uniwersalizm jego zainteresowań  
zdumiewa dziś zwłaszcza, kiedy  
ciasna specjalizacja coraz bar-  
dziej wypiera renesansową wszech-  
stronność.

Wyniósłszy z paryskich swoich  
studiów, zwłaszcza ze szkoły Dau-  
bentona, twórcy nowoczesnej pa-  
leontologii, nałóg skrzętnego gro-

madzenia szczegółów, Staszic nie  
ruszał się nigdzie bez słynnych  
swoich notat. Okazji do obserwa-  
cji życia dostarczyły mu kilkakrot-  
ne podróże odbywane do Austrii  
i Włoch razem z Zamoyskimi, u  
których był wychowawcą i nau-  
czycielem domowym. Nie były to  
jednak wojaże w rodzaju tych, jak-  
ie podejmowali w owym czasie  
żadni ciekawostek i ślepo uwiel-  
biający zagraniczną modę snobi-  
styczni globetrotterzy ze sfer ust-  
sunkowanych. Ciekawość Staszica  
- podróżnika była ciekawością  
badacza gromadzącego z zapalem  
materiały do prac naukowych. To  
też gdziekolwiek się choćby na  
krótko zatrzymał, starał się po-  
znać życie danego środowiska we  
wszystkich przekrojach. Zwiedza  
nie tylko muzea, biblioteki i nau-  
kowe instytucje, lecz usiłuje wnikać  
w obserwowaną rzeczywistość  
od strony nieoficjalnej, odsłonić  
nagą prawdę życia. Prze-  
rzucza więc np. osobiste składy  
księgarskie i wertuje katalogi, aby  
zorientować się w ruchu wyda-  
niczym i stanie sztuki edytorskiej,  
podejmuje gawędy z uczniami  
włoskimi, aby powziąć bezstronne  
mniemanie o poziomie oświaty  
tamtejszej; zwiedza gospodarstwa  
rolne, rozmawia z chłopami i z  
biedakami z miast, aby poznać ne-  
dź ich codziennej roślinności z  
autopsji, z własnego doświadcze-  
nia. To on w gorących miesiącach  
1790 i 1791 r. obserwuje pilnie we  
Florencji, w Livorno, w Genui, w  
Reggio i w innych miastach ita-  
lskich pierwsze rozruchy ludowe,  
żywiołowe objawy sympatii i a-  
probaty dla dokonujących się za-  
miedzą, w sąsiedniej Francji, re-  
wolucyjnych wydarzeń. Całe to  
multum spostrzeżeń skrzętnie no-  
tuje, ale nie są to notaty bezład-  
ne. Pilny obserwator zbliżał się do  
zjawisk i faktów w postawie kry-  
tycznej, łączył je w związki przy-  
czynowe, starał się ocenić z punk-  
tu widzenia osobistych przekonań  
i własnych koncepcji życia. Obja-  
wia się w tych zapiskach Staszic-  
reformator, konfrontujący rzeczy-  
wistość z teorią, i Staszic-historio-  
zof, starający się wyciągnąć z  
szczegółów wnioski ogólne o na-  
turze rozwoju społeczeństw.

W tych zagranicznych peregryna-  
cjach jest jednak Staszic przede  
wszystkim geologiem. Geologia  
to była jego „wielka miłość“. Za-  
interesowania w tym kierunku wy-  
niósł z College de France, gdzie  
słuchał Buffona, przejął się teoria-  
mi jego o świecie fizycznym i mo-  
ralnym, tłumaczac nawet na pol-  
ski jedno z czołowych dzieł tego  
wybitnego przyrodnika: „Epoki  
natury“. W podróży starał się  
kontrolować i sprawdzać tezy swe  
go mistrza. Trzeba podkreślić, że  
w tych badawczych dociekania-  
ch operował Staszic metodą ściśle  
naukową, był wybitnym empiry-  
kiem. Jego skrupulatność i su-  
miennność badawcza popychała go  
niekiedy do wyczynów wręcz ry-  
zykownych. I tak np. w czasie ba-  
dań nad strukturą geologiczną for-  
macji wulkanicznych nie zważa-  
jąc na niebezpieczeństwo zstępuje  
z brawurą w głąb krateru Monte  
Nuovo, kiedy indziej zaś wdziera  
się na szczyt Wezuwiusza w parę  
zaledwie godzin po wybuchu, aby  
naocznie sprawdzić jakość i skład  
wyrzuconych pokładów lawy.

Zainteresowania geologiczne Sta-  
szica skupiły się jednak głównie  
na górach polskich. Przewędrował  
Karpaty w ciągu lat kilku wszertz

i wzduż, od Moraw aż po Wołosz-  
czynę, i zbadał dokładnie jak nikt  
przed nim. Do Tatr powracał wie-  
loкратно. Stał się w ten sposób  
nie tylko pionierem nowej gałęzi  
wiedzy, ale i odkrywcą piękna gór  
polskich wpierw, nim odkryła je  
poezja. Owocem długoletnich ba-  
dań własnych był traktat „O ziej-  
miorodztwie Karpatów“, dzieło  
pionierskie, inicjując polską geo-  
logię naukową.

Tytuł inicjatora przysługuje jed-  
nak Staszicowi nie tylko z racji je-  
go badań geologicznych; był jed-  
nocześnie twórcą polskiej socjolo-  
gii i filozofii historii. Zdumiewa  
skala uzdolnień tego człowieka,  
który obok talentów analitycz-  
nych okazywał wybitną skłonność  
i umiejętność konstruowania roz-  
ległych, śmiałych syntez. Jest Sta-  
szic pod tym względem typowym  
reprezentantem tej formacji umy-  
słowej, jaką wyhodował wiek o-  
świecenia: z żądzą poznania łączył  
chęć rozumienia sił działających  
w przyrodzie i życiu społecznym.  
Rozległa lektura, własne oryginal-  
ne badania i obserwacje służyły  
miału właśnie tej syntezie naczel-  
nej, którą budował w niemałym  
trudzie w ciągu lat z górą 40 i o-  
głosił na krótko przed śmiercią  
jako „Ród ludzki, poema dydak-  
tyczne“. Krocząc śladami Vica,  
Herdera i Volneya dał coś w ro-  
dzaju syntetycznego przeglądu  
dziejów dotychczasowych ludzko-  
ści, a zarazem starał się odsłonić  
perspektywy na przyszłość. Rzecz  
ciężka, pisana jednostajnym trzy-  
nastogłoskowcem przez człowie-  
ka nie mającego ani krzty poety-  
ckiego polotu, jest typowym pro-  
duktem optymistycznego racjona-  
lizmu, wierzącego w wszechmo-  
c rozumu jako jedynego gwaranta  
ludzkiego szczęścia.

5.

W czasie pobytu w Austrii za-  
interesowały Staszica szczególnie  
zagadnienia ekonomiczne. Badał  
warunki bytu warstw pracują-  
cych, stan handlu, wymianę towa-  
rową, zwiedzał gorliwie kopalnie,  
huty i zakłady przemysłowe. Do-  
prawdy, im bliżej poznajemy Sta-  
szica, tym więcej porywa nas i za-  
ciekawia ten człowiek, z którego  
nauka szkolna zrobiła niepokorne-  
go księdza, autora dwu „nud-  
nych“ traktatów politycznych. W  
istocie rzeczy to człowiek w każ-  
dym calu nowoczesny, wyprzedza-  
jący dalekowiedzącym spojrzeniem  
swoją epokę, reprezentant na  
gruncie polskim tego budzącego  
się mieszczaństwa, które odniósł-  
szy triumf w rewolucji francu-  
skiej będzie w najbliższych dzie-  
siatkach lat zmierzać szybko ku  
swemu apogeum. Znaczną część  
pokaźnego majątku osobistego za-  
wdzięczał Staszic — jak się zdaje  
— szczęśliwym operacjom giełdo-  
wym (!), jakie prowadził we Wied-  
niu. Jego korespondencja z pleni-  
ponentami świadczy aż nadto wy-  
raźnie o doskonałej orientacji w  
kwestiach finansowych. Kto wie,  
czy bystry obserwator i analityk  
faktów nie zdawał sobie już wów-  
czas sprawy z roli kapitału w na-  
dchącym okresie dziejów Euro-  
py. To pewne, że walkę z feudal-  
nym zacofaniem, unowocześnie-  
nie gospodarki narodowej, a  
zwłaszcza uprzemysłowienie kra-  
ju uważał za najpilniejszą potrze-  
bę i realizacji tych zadań poświę-  
cił sporo energii.

W pierwszych latach istnienia  
Królestwa Kongresowego jest Sta-

# WIECZNOŚCI

## Staszic)

szic głównym organizatorem przemysłu polskiego. Jako dyrektor wydziału Komisji Spraw Wewnętrznych rozacza pieczęlowitą opiekę nad rzemiosłem i rodzajem się młodym polskim przemysłem. Tworzy szkoły gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa, przygotowuje kadry kandydatów do instytutu politechnicznego, a przede wszystkim organizuje ukochnane przez siebie górnictwo. On to jest twórcą akademii górniczej w Kielcach i on staraniem własnym zabiega o zdobycie maszyn, narzędzi i materiałów górniczych i o pozyskanie dla tej nowej dziedziny ekonomiki narodowej fachowych instruktorów zagranicznych.

6. Czciocielem światła można by nazwać Staszica i nie byłoby w tym określeniu ani cienia przesady. Oświecenie, to hasło sztandarowe XVIII stulecia, od którego wzięła nazwę cała epoka, było jednocześnie religią autora „Przestróg”. Zgodnie z przekonaniem ogólnie wówczas panującym w oświacie powszechnej widział uniwersalne lekarstwo na wszystkie niemal dolegliwości rodu ludzkiego, jednocześnie zaś zwalczał i tępił na każdym kroku zabobon z fakią furii i zapalem, że się nieraz zagalopował i popadał w ciasną jednostronność. Entuzjasta prac Komisji Edukacyjnej, sam potrosze pedagog, a uczony miary nieprzeciętnej, sprawom oświaty poświęcił Staszic najwięcej energii i najwięcej zasobów pieniężnych. Zajmowane przez niego w czasach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego wysokie stanowiska w urzędniczej hierarchii oświatowej otworzyły przed nim szerokie pole działania. Zmysł organizatorski i reformatorski znalazły tu pełne ujęcie dla ekspansji. Staszic jest niezmordowany; otwiera nowe szkoły lub popiera inicjatywę w tym kierunku, układa projekty organizacyjne i programy nauczania, wizytuje zakłady wychowawcze - naukowe i o sobiście egzaminuje uczniów.

Ale największym jego dziełem w tym zakresie, dziełem, w którym ofiarność jego, energia i wiedza najpełniej się objawiły, jest założone w Warszawie w r. 1800 Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Instytucja ta, będąca w najcięższych chwilach życia narodowego ostoją myśli polskiej, warsztatem pracy naukowej dla całych pokoleń badaczy pozbawionych normalnych warunków twórczości, inicjatorką tylu poczyniń wydawniczych o wartości nieprzemijającej, a spełniająca przez długi okres i rolę uniwersytetu i zadania akademii umiejętności, otóż instytucja ta była w dużej mierze tworem Stanisława Staszica. Bo choć dopiero od r. 1808 rozwijała się pod bezpośrednim jego kierownictwem, to jednak w istocie rzeczy on był jej duchem opiekuńczym i motorem poczyniń od pierwszych chwil istnienia. Wobec Staszica Towarzystwo zaciągnęło podwójny dług wdzięczności. Był jego hojnym mecenasem, generalnym finansistą, którego prywatna szkatuła była zawsze niewyczerpana, gdy chodziło o zaspokojenie potrzeb naukowych instytucji. On zasilal jej skarb szczerą dłońią umożliwiając działalność edytorską, on finansował konkursy, on zaopatrywał w książki i instrumenty. On wreszcie własnym kosztem wznosił Towarzystwu wspólną siedzibę,

słynny Pałac Staszica. Równolegle zaś z tą działalnością filantropijną dobrodzieja i opiekuna biegły prace już ściśle naukowe. Członek a potem przez lat wiele prezes zasilal stale posiedzenia własnymi pracami naukowymi, z niespożytą energią koordynował rozliczne kierunki działalności rozwijającej się wciąż instytucji i reprezentował najgodniej jej interesy wobec społeczeństwa. Ta „praca organizacyjna”, ten trud budowania podstaw kultury narodowej, to jeden z głównych tytułów Staszica do nieśmiertelności.

7.

W Warszawie dwu pierwszych dziesięcioleci XIX w. postać prezesa i radcy stanu była bardzo popularna, stanowiła jakby nieodzielny atrybut krajozobrazu stolicy. Ten wysoki dostojnik, zasłużony obywatel, pisarz i uczony musiał zapewne budzić nie tylko cześć powszechną, ale i ciekawość zarówno swoją zewnętrzną fizjonomią, jak trybem życia. Skromnie, ubogo zawsze odziany wiódł żywot niemal ascetyczny, pozbawiony całkowicie tych wszystkich wygód, do jakich uprawniałaby go

pozycja społeczna i piastowane godności. Był surowy w stosunku do siebie i osobiste wydatki ograniczał do potrzeb najbardziej niezbędnych. Podobno budżet jego dzienny nigdy nie przekraczał dwu złotych, sam sobie latał buty, w teatrze, którego był wielbicielem, widywano go stale na najgorszych miejscach. A przecież był jednym z najbogatszych ludzi owego czasu. Zastanawiała ta dysproporcja między marną egzystencją a olbrzymimi możliwościami.

Otóż Staszic, podobnie jak w sto lat po nim uwielbiany przez Żeromskiego Władysław Żamoy-ski, uważał się tylko za szafarza tego własnym trudem i zapobiegliwością zdobytego majątku. Właścicielem prawowitym i jedynym był według jego przeświadczenia tylko naród polski. Pisał w jednym z dzieł swoich: „Tylko miłość bliźnich, ziszczana przez dobre czyny, jest szczęściem dla ludzi. Tylko ten postępuje najlepiej do celu swojego Stwórco, kto przez ciąg swojego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość drugich ludzi; ten zaś, kto przez swoje życie poprawi i udoskonali los

współczesnych lub całych plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swojego przeznaczenia, jakie Najwyższe Jestestwo w jego stworzeniu założyło”. I temu żarliwemu przekonaniu pozostał Staszic wierny przez całe życie. Ten bogacz żyjący w ubóstwie dobrowolnym używał zasobów olbrzymiego swego majątku właśnie dla „poprawienia” i „udoskonalenia” losu współczesnych i „plemion następnych”. Był wielkim filantropem, ojcem ubogich, opiekunem włościan. Rozległe dobra nabyte w Hrubieszowskim rozdał między chłopów z prawem dziedzicznej własności. Marzył, aby tam właśnie stworzyć nowy typ włościańskiej wspólnoty, jakąś słoneczną utopię ludzi wolnych i szczęśliwych. Liczne instytucje dobroczynne przez długie lata czerpały pomoc z jego hojnych dotacji. Uwieńczeniem zaś najgodniejszym wspaniałego dzieła był testament Staszica. Zapisywał w nim olbrzymie, w setki tysięcy złotych idące sumy chorym, ubogim i pozbawionym opieki, instytucjom naukowym, przytułkom i szpitalom, sobie warując jedynie prawo najskromniejszego pochowku.

W świetle tych faktów życie i osoba Stanisława Staszica nabierają wymowy szczególnej. Olbrzymie zasługi jego na tyłu polach działalności zarejestrowała, zwała i oceniła już w pewnym stopniu historia, a w przyszłości nie jeden zapewne jeszcze raz do tej

posagowej postaci powróci. Ale to, co w Staszicu człowieka współczesnego pociągnąć musi z mocą szczególną, to czystość, niemal świętość jego moralnej osobowości. Słowo i czyn tworzą w nim sojusz zgodny i trwały jak dwa tony złączone w jeden akord. Życie pojmował jako wielkie zadanie do spełnienia i budował je w trudzie nieustępliwym, z zadziwiającą konsekwencją. Nie był bez błędów, popełniał omyłki, o które nie było trudno w tych czasach generalnej rewizji niewzruszanych od wieków pojęć i wartości, ale jego czystość moralna, jego absolutna prawość wewnętrzna nie może być kwestionowana. Był jak kryształ, przez który przechodzi promień światła i biegnie dalej niepowstrzymany. A że ta czystość i prawość wewnętrzna odana była cała na usługi wspólnej, społecznej sprawy, że w ukochaniu tej sprawy czerpała ochotę i podniecie do coraz większych ofiar i wyrzeczeń, więc płynnie stąd dla nas inne jeszcze przypomnienie prawdy wielkiej i oczywistej, o której jednak tak często zapomina człowiek współczesny: Staszic uczy nas, że w granicach doczesnego porządku, w obszarze ziemskich naszych przeznaczeń nie masz nic szczytniejszego, nie bardziej z powołaniem ludzkim zgodnego, jak „oddać swoją wolę i swoją moc osobistą towarzystwu całemu”.

Artur Hutnikiewicz

Wybrał B. M. Długoszewski

## HUMOR STAROPOLSKI

Vox populi - vox Dei

Odpowiedz wiesniaka

U nas zwie się gospodarzem  
Rządny rodzaj rozbójnika,  
Który z łotrem arendarzem  
Chłopów własnych drze jak tyka,  
Który nie patrząc na skutki,  
Prócz tych jakie w kieszeń bierze,  
Najwięcej kartofli zbierze,  
I najwięcej sprzedaje wódki.

### Majtek nazbyt obdarzony

Majtek ubogi, tak śliczną jak zorze,  
Małżonkę mając, puścił się na morze,  
Chciał szukać zysku, zwiedzić trochę świata,  
Nic nie zyskawszy, powrócił w trzy lata.  
Idzie do siebie i z miłością gorącą,  
Zastał swą żonkę przed domem stojącą,  
Wita, całuje, ledwie się nie wściecze,  
— Jak mi się miewasz? co tu robisz? rzecze;  
Czyż to ten dom jest? Zaspokój me troski. —  
— Nasz to jest mąż, z Opatrzności boskiej.  
Co słyszac, wchodzi do domu, i w każdym progu,  
Szczepnie się modli opatrzniemu Bogu.  
— Boże! nie zgaśnie wdzięczność w mej pamięci  
Niechaj się za to imię Twoje święci.  
Kto ci dał perły? Klejnoty, manelki? —  
— Bóg. — O! jakże Bóg w dobroci jest wielki!  
— A te obicia? zwierniadła, kobierce? —  
Kanapy skąd są? powiedz moje serce? —  
— Wszystko to z boskiej dobroczynnej ręki; —  
— Ach! żono! klękni, złożmy Bogu dzięki.  
Skąd są te srebra? gotowalnia droga? —  
— Od Boga. — Żono! żono! chwalmy Boga! —  
A gdy tak majtek boskie wielbi dary,  
Wchodzi z piastunką syn, dwa lata stary.  
Ciekawy majtek, skąd to dziecię pyta?  
— Łaska mi boska dała go obfita.  
— O, co w tem żonko! muszę mówić śmieje,  
Bóg w moim domu rządził się za wiele! —

(Z rękopisu Ulanowskiego).

Ujrawszy w mieście wiesniaka,  
Wniósł Pan Starościc pytanie:  
„Cóż tam na wsi porabiają?  
„A głupców czy cięba taka,  
„Jak dawniej?” — Nie, Mospanie!  
Rzecz wiesniak: od tej chwili,  
„Jak pan tu obrał mieszkanie,  
„Głupcy się u nas zmniejszili”.

(Ignacy Szydlowski)

### Nabuchodonozor

Ze Nabuchodonozor przemienił się w wola,  
Tego cudu ma uczyć jakaś powieść święta;  
Lecz któż temu nareszcie dziś wierzyć nie zdoła,  
Widząc tylu zmienionych w osły lub cielęta.

(Antoni Pełka).

### Pacierz do stołu dworskiego

Któryś raczył zgromadzić nas do tego stołu  
Błogosław co z korzenia i co do rosółu,  
Któryś stworzył z niczego niedostępne nieba  
Racz że nam dziś przeżegnać tę to skibę chleba.  
Św. Piotrze otwórz niedobry sklep  
Błogosław nam pieczeni i to mięso z rzepy,  
Miła św. Heleno, z miłą św. Anną,  
Przeżegnaj nam te kiszki pospołem z brytwanną,  
Miły św. Adamie z swą małżonką Ewą  
Przeżegnaj to co z cukrem, i to co z podlewą —  
Wszystkie nasze potrawy, ba i to co z enrazem  
Błogosław nam nasz Panie, mówmy wszyscy Amen.

(Z rękopisu Karmanowskiego)

Jerzy Zagarłowski

# Drogi i bezdroża „Komedii ludzkiej”

LEKROĆ staram się zbliżyć do momentu narodzin „Komedii Ludzkiej” i do istotnych wartości jej świata, zawsze uprzytamnia mi się wizerunek autora, Honoriusza Balzaca z portretu Bertalia: z założonymi rękami na białym dominikańskim habicie i z drapieżnym wzrokiem realisty utkwnionym w kręgu otaczającej go rzeczywistości. W wypadku, gdy odbiegamy od suchej naukowej analizy i chcemy jedynie z świadomością dzielącego nas dystansu stu lat spojrzeć na dzieło w jego prawdziwych proporcjach, te zewnętrzne szczegóły, które dla współczesnych były tylko tematem anegdot, dla nas nabiorą pewnego znaczenia.

Teofil Gautier zapytywał w swoich „Portraits Contemporains” — jakąż fantazją kazała mu wybrać ten habit i nie porzucić go nigdy w czasie pracy literackiej, poczem sam znajduje odpowiedź: „Symbolizował on życie klasyczne, któremu poświęcił się dla swej pracy, życie tego benedykta powieści”. Postawa Balzaca wobec realizacji zadania, które przed sobą postawił, postawa, którą możnaby określić podporządkowaniem dążeń ludzkich zamiarom artysty jest dzisiaj dla nas zjawiskiem prawie nieznanym i zadziwiającym a jednak było koniecznym wówczas przy budowaniu świata „Komedii Ludzkiej”. Czyż inny pisarz o mniej surowych zasadach wytrwałby w dążeniu do tak wysokiego celu polegającego na artystycznym wyrażeniu współczesności, na oddaniu jej oblicza obyczajowego na zgromadzeniu wszystkich cech tak śro-

dowisk społecznych, jak i charakterów ludzkich i na przejściu wreszcie do „sensu głębszego”, do stworzenia olbrzymiej syntezy wszystkich zjawisk społecznych i indywidualnych?

Gdy pomyślimy o stanie dzisiejszego powieściopisarstwa realistycznego, o twórcach, którzy potrzebują coraz większego dystansu czasowego dla uchwycenia istotnego sensu i charakteru epoki, w której tworzeniu uczestniczą — myśl znowu skupia się na tej samej „klasycznej” sylwetce wielkiego pisarza, który w swej samotni wyczerpywał całą energię intelektualną na momentalne znalezienie artystycznego kształtu dla otaczającej go rzeczywistości.

O ostrożności jego widzenia istotnych znamion czasów, o jego — nieuświadomionym zresztą — instynkcie historycznym świadczyć może chociażby ta paralela przeprowadzona pomiędzy wielkim poprzedzającym rewolucję, a wiekiem XIX. „Tamten — pisał Balzac — przygotowywał zniszczenie śmiejąc się, nasz śmieje się wśród ruin”. Balzac świetnie oddał w swoim dziele klimat owych ruin społecznych i obyczajowych jakie przyniosła z sobą Restauracja, oraz obecność tego, co gotowało się wśród tych ruin do ostatecznego, zaborczego skoku — kapitalizmu. I z tego tła, z kanwy niesprawiedliwego, często dziwnego wprost porządku społecznego wyłaniają się dopiero ludzie z „Komedii Ludzkiej”. Taką jest hierarchia zachowana u Balzaca: najpierw epoka, potem jej ludzie. Trzymając się tej kolejności, wchodzimy automatycznie w

głąb rzeczywistości tego ogromnego cyklu.

Wiekowość postaci „Komedii Ludzkiej” znajduje świetne określenie w jednej z „maksym” księcia de La Rochefoucauld, która służyć może za motto do dzieła powstałego w 200 lat później. „Wydaje się — mówi wielki obserwator życia — że natura ukryła na dnie naszych jaźni talenta i umiejętności, których nie znamy — jedynie namiętność ma ten przywilej, aby je wydobyć na światło dzienne i udzielić na nie kiedyś spojrzenia dogłębniejszego, niż to mogłaby uczynić sztuka”. W tym schemacie mieści się większość postaci balzackowskiego eposu. Pod protektorem generalnej namiętności wieku — pasji pieniądza, zgodnej zresztą z ówczesną fazą kapitalizmu rozwijającą się namiętności indywidualne, utrzymując ludzi w stanie jakiegoś irracjonalnego rędu ku nie zawsze uświadamianym celom.

Oto życie takie prowadzi ojciec Grandet — winaż z Saumur — tknięty obłędem gromadzenia złota, niszczący życie swym najbliższymi: żonę i córce, ten sam uraz pieniądza pada na starego drukarza Séchard, obojętnego wobec nędzy syna, inna namiętność w formie zazdrości i nienawiści tworzy i spala kuzynkę Bietkę, tak jak niszczy ojca Goriot, jego miłość macierzyńska do córek i tak jak ostatnie chwile Rafaela de Valentin zabruwa straszliwy lek przed nieuniknioną śmiercią. Te namiętności odnajdziemy w rozpuszceniu barona Hulot d'Ervy : w beznadziejnych poszukiwaniach absolutu Barnarda Claës i w sile awansu społecznego popychającej Lucjana de Rubempré ku nieznanemu Paryżowi z faubourg de Saint Germain, siłę, która dopiero z tej wyżyny pozwoliła mu ocenić nędzę świata do którego się wdzierał i głębię własnego upadku. Świat „Komedii Ludzkiej” zaludniony jest postaciami, których cechą wspólną jest ten instynkt dążenia i działania, wznoszenia i niszczenia. Jest to świat, którego szerokość tłumaczy jedynie Paryż, to miasto — monstre, będące bazą socjologiczną i obyczajową wielu arcydzieł balzackowskich i któremu Balzac swym dziełem wystawił najwspanialszy pomnik. „Paryż to prawdziwy ocean — czytamy w „Ojcu Goriot” — możecie rzucać weń sondę. — nigdy nie poznacie prawdziwej jego głębokości. Choćbyście nie wiem jak przebiegali i opisywali, choćby nie wiem jak liczni i gorliwi byli badacze tego morza, zawsze znajdzie się jakaś dziwnicza ustrona — coś niesłychanego i zapomnianego przez literackich nurków. Świat „Komedii Ludzkiej” ma swoją ograniczoną szerokość, nawet wydano specjalną encyklopedię rejestrującą wszystkie jej osoby, a jednak dla przeciętnego czytelnika jest to taki właśnie ocean, w którym trzeba uważać, aby nie zagubić samego siebie. I tutaj miejsce, aby rzucić to zasadnicze pytanie: jaki system wartości zastosował autor przy tworzeniu świata swej fikcji, albo: jakie dał drogi orientujące odbiorcę dzieła w jego wprost nieprzebytym oceanie faktów i sądów.

## 2.

Określa się pod pewnym względem realizm jako postawę pisarza wobec rzeczywistości, która zakłada bazę światopoglądową dzieła, pewien właściwy autorowi system pojęć, oraz element ideologiczny, motywacyjny, zawarty w komentarzu autorskim. Z tej przyczyny realizm — w odróżnieniu od naturalizmu, — jest uznany przez wszystkie systemy normatywne mające ambicje do uniwersalnego określania świata, — jako własna metoda artystyczna. Na tej samej podstawie mówi się o realizmie socjalistycznym, czy dyskutuje się na temat realizmu katolickiego.

Poddawano w wątpliwość realizm Balzaca ze względu na jego genezę romantyczną, na element fantastyki — ale według mnie balzackowski realizm można by zaatakować jeszcze od strony definicji powyższej. Tym bardziej, że Balzac nie obiektywizuje tego, co tworzy. Ma on chłodne, analityczne podejście do zagadnień społecznych, ale jednocześnie w samym procesie realizacji literackiej, w momencie przedstawiania swej wizji przenika każdy szczegół swoim uczuciem, swoimi poglądami, jednym słowem swoją osobowością i obcy byłby mu zupełnie trud impersonalisty Flauberta, aby wyznaczyć ślad swej obecności autorskiej z kart dzieła. Mimo to jednak trudno u Balzaca dopatrzeć się jakiegś stałej bazy pojęciowej, trudno odnaleźć szerszą perspektywę dla przedstawionych zdarzeń.

To samo zarzucano Stendhalowi, ale uważam, że niesłusznie. Posiada on pewien światopogląd i mimo całej jego bezużyteczności życiowej daje się łatwo wyczuć w twórczości. Jest to ten beznadziejny hedonizm XIX-wieczny: „Motorem działania dążenie do nieosiągalnego szczęścia”, przybierający postać egoizmu o zabarwieniu, powiedzmy dzisiaj, egzystencjalistycznym.

Natomiast pytania: kim jest właściwie Balzac i jakie są jego przekonania padają już od dawna. Sam pisarz kategorycznie twierdził, że tworzy w oparciu o religię i tron, a w przedmowie do „Komedii Ludzkiej” gwałtownie broił się przed zarzutem amoralności. Na podstawie jednak twórczości stwierdza my, że założenia powyższego, dotyczące religii autor nie przeżył artystycznie, nie wyciągnął zeń konkretnych konsekwencji. Albo „założenie” i „wykonanie” to zaledwie jedna z wielu sprzeczności, które ściągając się niemal dialektycznie etanowią o dziedzinie światopoglądu i twórczości Honoriusza Balzaca.

Boy-Zeleński w swojej rozprawie pt. „Paradoxy Balzackowskie” wykazuje przeciwieństwa pomiędzy poglądami pisarza, a dziełem — pomiędzy legitymistą, zwolennikiem arystokracji rodowej, Restauracji, oraz przeciwnikiem mieszczaństwa i idei demokratycznych w życiu — i jednocześnie w twórczości piewą awansu społecznego tej samej burżuazji, a ponadto piewą plebejskich kręgów Paryża, do których nigdy nie zabrała karetą z Saint Germain. Zeleński upatruje przyczyny tych rozbieżności w samym pochodzeniu Balzaca. „Po ojcu Balzac jest chłopem — pisze Boy — a co do matki, ta była czystej krwi mieszczańką paryską, ze wszystkimi zaletami i wadami paryskiego mieszczaństwa. I ten dziadek Balssa, mama Salambier i fałszywe Balzaki d'Entraques będą się całe życie wodzić za lby w Balzacu”. Ale dziedzina naszej samej twórczości obfituje w niemniej antagonistyczne cechy. Dużo mówi się np. o Kościele i religii na kartach „Komedii Ludzkiej”. W „Kuzynce Bietce” znajduje się wzruszająca scena śmierci kurtyzany Walerii konającej na straszną, rozkładającą ciało, chorobę. Z powodu zadachu wszyscy opuścili pokój, został tylko ksiądz i zakonnica. Oto co pisze w tym miejscu Balzac: „Religia widziała duszę potrzebującą starań w tej kupie zgnilizny, która ze wszystkich zmysłów zachowała jeszcze wzrok. Tak więc Kościół Katolicki, to boskie ciało zawsze ożywiane duchem poświęcenia wspomagat pod dwójką postacią duchową i cielesną, tę ohydą, plugawą konającą, zlewając na nią swoją nieskończoną łaskę i niewyczerpane skarby miłosierdzia”. I jednocześnie dostrzegamy materialistyczny punkt widzenia rzeczywiście u Balzaca, materialistyczne podejście do zagadnień społecznych, wraz ze ścisłym uzależnieniem jednostki od tzw. „podłoża”. Wiemy, że Engels nazywał go swoim nauczycielem, Marks

chciał pisać o nim pracę, a Boy-Zeleński w swojej ostatniej pracy o Balzacu nazywa go jawnie „prekursorem materializmu historycznego”. Oto jesteśmy w sercu tego rozdroża „Komedii Ludzkiej”.

Podobne rozdwojenie obserwujemy u Balzaca jako artysty. Jest przeziębiony klimatem romantycznym, często posaża wodze fantazji, a jednocześnie dużą wagę przykładu do nauk ścisłych, wykorzystując ich wyniki w twórczości, co zapowiadałoby pisarza pozytywistę. Daje temu wyraz w entuzjastycznej dydakcji dla uczonego Geffroy Saint Hilaire. Jednakże pozytywizm nadejdzie dopiero z drugim cesarstwem, hodując w swym zasięgu prąd naturalistyczny, który wiele zaczerpnął od Balzaca i który w „Rougon — Macquartach” Zola dał unowocześnioną „Komedię Ludzką”. Powieść katolicka (nawiązując do katolickiego elementu w twórczości Balzaca) objawi się również w pełni swych możliwości artystycznych dopiero po gwałtownym nawróceniu Karola Huysmans'a, dawnego ucznia Zola, w końcu XIX wieku, a powieść marksistowska powstanie jeszcze później. Balzac pozostaje sam, jako potężny etap od romantyzmu do naturalizmu i jako konglomerat pojęć, które na kartach „Komedii Ludzkiej” walczą o ideologiczne równouprawnienie. Te elementy światopoglądowe tkwiące w jego dziele in statu nascendi otrzymają rozwiązanie artystyczne w wiele lat później.

## 3.

W całej galerii postaci „Komedii Ludzkiej” wyróżniają się dwie, które ukształtowaniem swych losów reprezentują niemal wszystko, co o życiu powieściowca twórcy. Są to młodzi: Eugeniusz de Rastignac i Lucjan de Rubempré. Obaj startują podobnie; wprowadzając Rastignac jest studentem i zamieszkuje w skromnym pensjonacie dzielnicy la-cińskiej, a poetę Lucjana de Rubempré unosi do Paryża karetą pani de Bargeton, to jednak dla obu wymarzone miasto jest wielką niewiadomą, której odślonięcia czekają z całą niecierpliwością swej młodości. Dzieje rozczarowania Rastignaca w stosunku do zasnutej w blyszczące pozory Paryża malują nam „Ojciec Goriot”, a w innej powieści obserwujemy, jak złudzenia Lucjana wobec życia rozspują się niby domki z kart. I reakcja obu, na ten proces uświadamiania sobie nieznanego życia, jest podobna: Eugeniusz na pogrzebie starego Goriot widząc w dole, u stóp ementarza Père Lachaise, rozłożone miasto swoich marzeń, rzuca mu owe słynne: „Teraz się spróbujemy”, a Lucjan po pochowaniu swej kochanki Koralli, gdy „... został sam aż do zachodu słońca na tym pagórku, z którego oczy jego obejmowały Paryż”, woła: „Teraz zwyciężę!” I obaj ponoszą porażkę. Rastignac zamiast zapanować nad światem, który przejrzał do głębi, staje się jego najpowolniejszym sługą i robi majątek na machinacjach finansowych bankiera Nucingena, gdy równocześnie Lucjan po wielu bezskutecznych szamotaninach popełnia samobójstwo. To bardzo charakterystyczne dla Balzaca i bardzo konsekwentne. W imię czego mieli właściwie walczyć? Rastignac jest studentem, więc pewnie nie wierzy, gdy tymczasem Lucjan sam to wyznaje. Jakże więc siły i wartości mogą przeciwstawić Paryżowi, spojonomu nieugiętą wiarą w pieniądź? Ten kontrast słabości i potęgi, będziemy odnajdywali wielokrotnie.

W życiu Rastignaca zjawia się knucieł — Vautrin, ale propozycje jego ułatwionego zdobycia majątku zostają odrzucone w imię jakiegś moralności dzieciństwa, natomiast Lucjan poddaje się pod ten wpływ, który zaprowadza go niewiele dalej niż poprzednika. Ra-

(Dokończenie na str. 7)

Tadeusz Chrzanowski

## Świat malarza

*Jakże lekki, jakże kruchy  
jest zielony świat Chagalla!  
Jak zielony, jak różowy,  
jak prawdziwie nierealny —  
kiedy wiosna nad Witebskiem  
lub Paryżem się zapala —  
kiedy spływa noc pijacka  
nad miasteczek sen niedzielny.*

*Na tym świecie jakieś cyrki —  
osiółki i krase szmatki —  
skrzypce słodkie jak landrynki —  
i pływające bałabajki —  
na tym świecie są miasteczka  
krzywe jak akordeony —  
a skrzydlata krowa mieszka  
w chmurach prawie urojonych —  
na tym świecie jest samowar  
wzdychający jak tęsknota —  
a zielony rabi chowa  
zółte oczy w rolkach Thory —  
na tym świecie są kolory —  
są kolory —  
jak swoboda —  
i odkrywa skryte rzeczy  
jakiś śpiewak niedorzeczny.*

*Jakże lekki, jakże kruchy  
jest zielony świat Chagalla:  
głowa z ramion się odrywa  
i ku barwom się oddala.  
Krążą myśli bardzo ściśle,  
krążą farby bardzo lekkie —  
krąży żołnierz ponad miastem  
i pijany chwytą gwiazdę...*

*U Chagalla świat odległy  
kolorowym tli światelkiem —*

*były świat — strutowany najazdem.*

Bela Mencer

Tłum. Andrea Tonchu-Ru

# PRZEKONANIA RELIGIJNE BALZAKA

„Dziś i Jutro” pisało różne rzeczy o Balzaku... Balzak... przyszedł do katolicyzmu bo tak mu wypadło, lecz katolicyzm jego był tylko nominalny, formalny, nie odzwierciedlający się ani w jego moralności, ani w poglądach, ani w dziełach... (Tygodnik Powszechny Nr. 30).

— Artykuł, który niżej drukujemy jest skrótem obszernej rozprawy zamieszczonej niedawno w „The Dublin Review” — najpoważniejszym katolickim periodyku, wychodzącym w Irlandii. Publikując go nie zamierzamy bynajmniej „kaperować” Balzaka. Jego katolicyzm jest zapewne ostatnim wzorem katolicyzmu, jaki można by Anno 1930 propagować. Aktualność i wielkość Balzaka dla czytelnika współczesnego zasadza się czymś zgola innym: przede wszystkim na genialnym, choć często minowolnym ukazaniu w skłóceniu tego wyznika historii w jakim mu wypadło.

Drukując fragmenty rozprawy Mencer chcemy jedynie dać wyraz naszym przekonaniom, że orzekanie o czyjejkolwiek katolicyzmie bez jednoczesnego uwzględnienia epoki, w której dana osoba żyła i tworzyła — musi nieuchronnie prowadzić do symfitykatorskich i niewygodnych uogólnień.

Red.

(Dokończenie ze str. 6-cj)

osiągnąć i tak w ułatwiony sposób osiągnąć fortunę, a Lucjan i tak ginie samowolnie. Czyżby więc nieunikniony determinizm zła? — Oto co mówi Balzak o Rastignacu: „Ujrzał świat taki jaki jest — prawo, moralność zdeptane przez bogaczy, ujrzał w majątku ultimate ratio mundi”. I to wypowiada pisarz w komentarzu autorskim, na którym opoczywa swykie ciężar motywacji świata poglądów. W innym miejscu czytamy: „Świat przedstawił mi się jak ocean błota, w którym człowiek grzeje nie po szyję, skoro utkwę w nim nogę. Mizerne zbrodnie — pomyślał. Vautrin jest większy!” Vautrin — galernik przewyższa ów świat swą zdecydowaną postawą wobec życia, swą niemal skodyfikowaną amoralnością, która przy tamtej grze pozorów zdaje się nabierać cech cnoty. Demonicznej, nieczystej i tworzącej zarazem potęgę pieniądza, która wnoszą się na piedestał decydowania o losach ludzkich autor przeciwstawia może tylko demonizm tego nowoczesnego Mefistotelesa.

Dobroć, szlachetność, moralność chrześcijańska w rzeczywistości literackiej „Komedii Ludzkiej” nie mogą zająć antagonistycznego stanowiska. Wszystkie dobre cnoty w rodzaju Eugenii Grandet, samotne żony, jak np. baronowa Hulot, której „dobroć” polega na ekwipowej aprobacie tego, co mąż wyprawia poza domem; dobrzy, lecz niezaradni wynalazcy, jak Dawid Sechard, nawet etyczni literaci ze stowarzyszenia „Biedniacy” — na tle dynamicznego, rozpustnego Paryża robią niekiedy wrażenie upośledzonych umysłowo. Nie wspomniany geist kurtyzany Józefiny, która pokazuje służbie splakaną i zatroaskaną o sprawki męża baronową Hulot ze słowami: „Patrzcie: to wielka dama, ale to coś więcej, to cnotliwa żona” — tak jakby pokazywała rzadki okaz zoologiczny.

Na tle takiego „układu sił” nie dziwnym jest, że Balzak znajduje słowa uznania dla wicehrabiny de Beauceant, jako osoby dobrej, szlachetnej, która uracza wstępującego w życie Rastignaca zbiorom rad w następującym stylu: „Im zimniej będziesz obliczał, tym dalej najdziesz. Uderzaj bez litości — bój się ciebie bali”.

Dobroć jest bardzo słabym czynnikiem i dlatego ma rację „dobra” pro-

Wiele napisano o Balzaku w r. 1949, a więcej jeszcze należy oczekiwać po roku 1950. Czy ktoś napisze kiedyś na jego cześć jedną książkę, o której ten autor 90 tomów, ten pisarz o trudnej do uwierzenia płodności i prawie nieograniczonych możliwościach twórczych wspomina w pewnej przedmowie i w niektórych fragmentach, wydanych po jego śmierci, książkę streszczającą całą moralność „Komedii Ludzkiej”, tę społeczną teologię i teologiczną socjologię, nad którą często się zastanawiał, odkąd po raz pierwszy w młodości uległ urokowi Bonald’a, najprzedniejszego obrońcy Kościoła i chrześcijańskiej monarchii w dobie rewolucji, który w swym „Essai analytique sur les lois naturelles”, napisanym u progu XIX stulecia (wkrótce po objęciu konsultatu przez Bonapartego, spodziewał się nataniania nowej ery, w której prawa, rządzące ludzkim społeczeństwem będą tak zbadać i znane, jak prawa natury w XVII i XVIII w.

Bez Bonald’a, którego Balzak lubi przytaczać, trudno by nam było zrozumieć Balzaka, ponieważ wszystkie jego dzieła są niekończącym się komentarzem przewodniej idei Bonald’a, że nauka społeczna objawia i dowodzi istnienia Boga Jedynego w Trójcy Świętej. Bez zasadniczych, stałych i nigdy nie kwestionowanych przekonań katolickich, jak najbardziej zgodnych z dog-

matami Kościoła, nie można zrozumieć Balzaka. (podkr. tłum.). Biograficzne albo estetyczne prace, usiłujące interpretować jego twórczość w innym oświeceniu, przedstawiają go tak, jak postawił go rzeźbiarz Rodin, stojącego na rozdrożu sztuki, bez oczu, bez rąk i bez nóg, niekompletny obraz artysty, który był bystrym obserwatorem, wytrwałym pracownikiem i człowiekiem, który stał mocno obiema nogami na gruncie ludzkiego i społecznego realizmu.

Balzak dotąd jeszcze nadaje temu właściwe znaczenie. Późniejszy „realizm”, którym Flaubert zapoczątkował degenerację i dekadencję powieści, bardziej konwencjonalny i banalny od sentymentalizmu poprzednich pokoleń, jest zupełnie obcy Balzakowi.

Balzak nigdy nie tracił z oczu wielkiego problemu człowieka. Nigdy nie oddał swojej sztuki na łup blawych szczegółów, drobiazgowych opisów i rejestrowania mało ważnych psychicznych reakcji. Nigdy nie wjeżdżał do Królestwa Niebieskiego, jeśli nie staniemy się jak dzieci; nigdy nie wjeżdżamy do Królestwa romantyzmu, jeśli nie będziemy młodymi. Być poetą, to znaczy stwarzać ludzi i miejscowości, postaci i sytuacje, które są do pewnego stopnia reminiscencjami z przeszłości, czasem bliskiej, a czasem odległej, ale w ten sposób, że świat fikcyjny zawsze

jest podległy prawu tak doskonale prostemu, jakim Bóg stworzył je dla ludzi.

Kodeks Balzaka jest równie prosty, jak przykazania Dekalogu. Ten twórca wielkich namietności, ambicji, intryg i zazdrości w skali nieznannej poprzednim mistrzom wyobraźni, nigdy nie uległ pokusie stworzenia jakiegos subiektywnego prawa albo subiektywnej prawdy (podkr. tłum.). Jego fikcyjne społeczeństwo było protestem przeciwko wszelkiemu indywidualnemu fantazjowaniu. Poprzednicy Balzaka wymyślali albo powtarzali historie o mężczyźnie lub kobiecie — i opowiadali o ich ciekawych losach lub dziwnych przygodach. Balzak zmienił tę sztukę i stworzył powieść społeczną. Nigdy potężna wyobraźnia nie zwiódła go na manowce stworzenia własnego idealnego świata, w którym piękność nieunikniona łączy się z cnotą albo idealnego świata, w którym grzech szybko zostaje ukarany, a cnota wynagrodzona. Wiedział do brze, że piękne kobiety nie zawsze są aniołami i że wartościowi mężczyźni nie zawsze są przystojni, chociaż sądził, że nie ma słuszniejszej ambicji, niż pragnienie połączenia wyższego intelektu mężczyzny z doskonałym wdziękiem kobiety. Prymat zagadnienia społecznego był tak samo oczywisty dla Balzaka jak dla Bonald’a: Balzak tworzył rodziny, a nie jednostki, a przez „społeczeństwo” rozumiał rządzenie ludzko-

cią przez powiązania hierarchiczne, przez Ojcostwo Boga, Objawienie Syna, przez wiedzę wlaną przez Ducha Świętego, przez Kościół i uświęcone wiadze.

Bóg stworzył świat, ponieważ go sobie wyobraził i rządzi nim swoim rozumem i wolą. Słowa te, słyszane po raz pierwszy, wydają się trochę zimną, suchą i niekompletną teologią, w której miłość jako wyraz Boskości i jako główny powód stworzenia nie gra głównej roli. Tym niemniej Balzak tę teologię głosił, uważał za zupełnie prawdziwą i ta teologia jest zupełnie poprawna, nawet jeśli trochę niekompletna. Zdawał sobie nawet sprawę, jakie uzupełnienia są najkonieczniejsze, gdy pragnął porzucić choć na chwilę zbyt przesyconą racjonalizmem atmosferę swego rodzinnego kraju na rzecz innej atmosfery, z której pochodzi tak wiele fikcyjnych postaci: „Pobożność hiszpańska nie oddziela wiary od miłości i nie zna uczucia pozbawionego cierpienia”.

W każdym razie trzeba stwierdzić, że ani na chwilę nie zrezygnował ze swych teologicznych i eschatologicznych zainteresowań. Jego „Pensées et Maximes”, wydane pośmiertnie przez Barbey d’Aurewilly i „Katechizm Społeczny”, którego Bonaldowski, katolicki i legitymistyczny przedkład „Le Renouveau” nie wydrukował po napisaniu w r. 1833 i który został odkryty w wiele lat później wśród nieopublikowanych rękopisów wielkiego pisarza, ukazują wyraźnie stanowisko Balzaka.

Etyczny problem, postawiony przez Machiavella dla niekończących się dyskusji potomności, zagadnienie złej namietności „w służbie” szlachetnego celu, humanizmu, mającego cechy występku przewija się praktycznie na każdej stronie Balzaka. Można znaleźć ten problem w postaci Vautrin’a, być może największej kreacji wyobraźni Balzaka, występnym zbrodniarzu i lojalnym przyjacielu, niesamolubnie przywiązany do tego, czego wyższość uznaje. Można go znaleźć w filozofii politycznej „Un Médecin de Campagne”, a przede wszystkim w „Une ténébreuse affaire”. Balzak moralista bada człowieka i społeczeństwo we wszystkich aspektach, w mieście i na prowincji, w świecie politycznym i w prywatnym życiu. Z opisów wyciąga ostateczne wnioski. Powieść jest dla niego środkiem do celu. Akcja odbywa się tylko dla wydobywania ukrytej myśli, którą wyraża. I jeżeli ta akcja, to działanie ma tak wielkie znaczenie w jego filozofii, powodu tego należy szukać w mocno ugruntowanym i niezachwianym prawowiernym katolicyzmie.

Nie ma powodu kwestionować dość licznych u Balzaka wyznań wiary, przytaczając niedyskretne szczegóły z jego życia, które rzadko ukazuje Balzak biorącego udział w parafialnych nabożeństwach, a o wiele częściej — Balzaka zajętego spekulacjami handlowymi albo sprawami miłosnymi, które były prawdopodobnie wysłuchiwanie z przerwaniem w tajni konfesyjonału, gdzie na szczęście biografowie nie mają dostępu. Każde życie, które jest warte, żeby je przeżyć i wspominać, posiada wyższość nad zwykłym wyrażaniem opinii i rezonowaniem o nim. Każde wiernie odtworzone życie jest więc warte od biograficznej albo dokumentarnej notatki, która posiada tylko o tyle znaczenie, o ile patrzy się na nią w świetle najwyższej duchowej afirmacji tego życia. Błogosławieni ci, którzy dochodzą do takiej afirmacji, jak Balzak w „Pensées et Maximes” i w „Catéchisme social”.

„Pensées et Maximes” i „Catéchisme social” wystarczą, by oszczędzić nam wszelkich „niedyskretnych” biografii Balzaka.

etytutka Elstera Gobseck (motyw niewyczerpany!) gdy pisze w swoim liście — testamentie te gorzkie słowa: „Świat, który gnie się przed pieniądzem i sławą, nie chce ugiąć się przed szczęściem i cnotą”. Jedynie „Historia wielkości i upadku Cezara Birotte- au” jest książką przedstawiającą nam sens etycznego życia. Anzelm Popinot pracą i uczciwością dorabia się majątku, pozycji, uznania, a dobry wuj Perault ma na szczęście dość rozumu, aby dopomóc biednemu bakrutowi Cezarowi. W większości wypadków jest inaczej.

Również bardzo ciekawe są dalsze losy Eugeniusza Rastignaca, któremu jak wiemy powiodło się niegorzej. Otóż gdy młody bohater wyrzeknie się skrupułów i na kombinacjach miłosno - finansowych zrobi majątek — autor już tylko s oddali ukazuje nam jego wizerunek jako bezstroskiego dandysa i do brodzieja sióstr, które dobrze wydał za mąż. Żaden dramat wewnętrzny nie mąci mu wówczas spokoju. Gdy w „Komedii Ludzkiej” ktokolwiek wdaruł się na wyższy szczebel i ma świadomość, że z niego nie spadnie, wówczas radość z tego faktu przysłania mu bardziej skomplikowane zagadnienia, tzw. walki wewnętrzne, czy głosy sumienia.

Wydało mi się, że na tym głównie polega ten problem „niemoralności” „Komedii Ludzkiej”, o jakim tak często mówiono, nie wiedząc zresztą na jakiej płaszczyźnie można go rozstrzygnąć. Schyłek XIX wieku obfitował w tak krótkie teorie dzieła literackiego, uzależnione w mniejszym, lub większym stopniu od licznych doktryn filozoficznych, że trudno nawet odnaleźć było można pogląd ujmujący całość dzieła, a więc wraz z jego sensem światopoglądowym. Brunetiere poświęca temu zagadnieniu rozdział swej wspaniałej monografii o Balzaku, ale przeżywa- jąc samemu rozdarciu ideowe (wyznawca ewolucjonizmu materialistycznego i katolicyzmu) nie może rozstrzygnąć w jakim sensie można mówić o moralności lub amoralności dzieła literackiego. Wydaje się, że dopiero krytyk XX wieku w oparciu o swój uniwersalny światopogląd, ściśle: krytyk katolicki może stwierdzić, że przedstawienie człowieka na tle takiej proporcji zła i dobra, jak u Balzaka jest wbrew przekonaniu autora w wielu wypadkach niemoralne. W tym miejscu pada zwykłe

zarzut, że nie rozpatruje się twórczości Balzaka na tle jego epoki, bo przecież Boy powiedział, że tradycyjną moralność zastępuje u Balzaka społeczne widzenie rzeczywistości, a pamiętamy znane zdanie Brumetiere’a, który uznał „le droit du roman de représenter la vie dans sa totalité”, że powieści Balzaka są niemoralne tak, jak życie. Rozpatrzmy tę sprawę. Obowiązkiem realisty jest przedstawić „prawdę życia”, dać prawdziwy wyraz epoce, ale obowiązkiem jego jest również spojrzeć poprzez zewnętrzny mechanizm zjawisk na wartości stałe, do których ustosunkowanie się wyznacza dramat istnienia indywidualnego i społecznego. Idźmy dalej: bez takiego spojrzenia nie można mówić o „prawdziwości” dzieła. Wspaniale wyraził to Bruce Marshall mówiąc: „Żaden obraz epoki nie może być całkowicie prawdziwy, jeżeli odbłask wieczności — lub jakkolwiek chcielibyśmy to nazwać — nie lśni na kijach bilardowych i na kieliskach z coccailami”. Odnalezienie owe- go refleksu wieczności, uznanie pewnych niezmiennych zasad życia zmusza autora do oceny przedstawionych faktów, do motywacji decydujących o moralności dzieła. Mówię przykładowo: wartości moralne pozytywne jak dobroć i szlachetność mogły być zmiażdżone w walce w świecie „Komedii Ludzkiej”, ale nie mogły być zawsze przedstawione jako bezradne i słabe.

Mówiąc o moralności, a więc i o katolicyzmu „Komedii Ludzkiej” stwierdziliśmy pewien stan rzeczy. Szczegółowe rozpatrzenie zagadnienia o ile Balzak był zdeterminowany pisząc tak a nie inaczej, wymagałoby osobnego studium.

Ogólnie możemy powiedzieć o „Komedii Ludzkiej”, że jest to wspaniała panorama rzeczywistości stworzona przez pisarza, który poznał ją zmysłem realisty, nie mogąc jednak wznieść się ponad nią celem osądu i nie mogąc dokonać syntezy wszystkich zjawisk, które z precyzją i umiłowaniem kolekcjonera zebrał w ramach swego dzieła.

Obrazem, który wg. mnie najbardziej pozostaje po przeczytaniu „Komedii Ludzkiej” jest znana nam scena ostatnia z „Ojca Goriot”, gdy bohater powieści spogląda na „Paryż wijący się krętą linią wzdłuż obu brzegów Sekwany, gdzie zaczynają już błyszczeć światła”. Dużo mówiliśmy o bezdro-

zach „Komedii Ludzkiej”, ale jedno po zostaje faktem, że po zakończeniu nawet części tego potężnego dzieła obserwujemy życie w sensie jego zewnętrznej zjawiskowości z takiego dystansu, jak Rastignac obserwował Paryż z wyżyny Père Lachaise. Nie pokazał Balzak przekonywująco dobra, ale za to w pełni ukazał nam zło w swoich postaciach: tak społecznej, jak i indywidualnej. Z nadzwyczajną łatwością i przenikliwością odsłonił korzenie wielu „tabu” społecznych — ukazał istotne sprężyny szacowanych pozorów i kulisy licznych teatrów politycznych, jak i gospodarczych. Wskazał na groźną rolę pieniądza, z którego zrobiono boga i który rękami ludzi puszczony w obieg, zaczyna walczyć z ludzkością.

Dzieło Balzaka posiada swoje drogi, jemu tylko właściwe. Idąc nimi poznajemy inny Paryż, nie ten z bulwarów, ale owe „dantejskie kregi” gdzie królują nędza i występki a przede wszystkim nędza ludzka. Poznajemy całe galerie ludzi, od pałaców arystokratycznych, aż do nor ziemnych, poznajemy ludzi czarych, prostych, pracowitych, którzy wraz z Balzakiem otrzymują prawo obywatelstwa w literaturze. Poznajemy wiele zawodów oświeconych prawdziwą poezją codziennej pracy. Przeminał Paryż z epoki Balzaka, wiele z jego opisów ma wartość już wprost dokumentarną, ale z ogromnej życiowej obserwacji Balzaka wiele spostrzeżeń ma wartość stałą. Gdy patrzymy na drugą część życia Rafaela de Valentin, który za każdą spełnioną chęć musi płacić drogą, bo skracającym się życiem, mamy przeświadczenie, że to pisał Balzac - mędrzec. I jeszcze jedna rzecz: czytając „Komedie Ludzką” czytamy historię wielu ludzkich istnień, historie ciekawe, porywające, niemal prawdziwe, wnikamy w zawile biegi ludzkich losów, jak gdyby nam udzielono daru jasnowidztwa. Od nas, odbiorców, zależy, jakie wnioski z nich wyciągniemy.

Dzieło Balzaka ma już 100 lat poza sobą, ale i dzisiaj zbliża nas do siebie przez swój humanistyczny poryw. Czujemy wdzięczność do autora za stworzenie tych ludzi, za możliwość obserwowania ich losów w całych szeregach arcydzieł, losów, które niosą dla nas często głęboką naukę.

Jerzy Zagartowski

Bela Mencer

Stanisław Kolbuszewski

# Człowiek który był uniwersytetem

## (Michał Wasyliewicz Łomonosow)

Dzieje życia Łomonosowa (urodzonego w 1711 r. na jednej z wysp Dżwiny północnej w okolicy Archangielska) to dzieje człowieka walczącego najpierw o zdobycie wiedzy dla siebie, walczącego potem o przetwarzanie życia przez wiedzę. Patoz wielkości tej dwojakiej walce, toczonej w epoce wszechwładztwa absolutyzmu i znaczenia klas uprzywilejowanych przydaje fakt że Łomonosow był synem chłopca, rybaka archangielskiego. Do 19 roku życia ojcu w zajęciach pomagał, one zaś, oraz surowy klimat północy urobiły główne rysy jego charakteru — wytrwałość, odwagę i zaciętą nieustępliwość w dążeniu do celu. Przyroda półdżwiny, groźna, a do stojna objawiała mu wtedy swoje piękno, którego pieśnią miał się stać w przyszłości.

Przypadkiem uzyskane podręczniki szkolne zadecydowały o losach człowieka: rozbudziły w nim wolę poznania prawdy o tym życiu, które wokół siebie widział; a była to wola tak silna, że kazała mu rodzinny dom porzucić, do Moskwy pieszo wędrować, najliczniejsze trudności tam przełamywać, aby do jedynej wówczas, tamtecznej wyższej szkoły, mianowicie do Akademii dla duchownych wstąpić. Przez lat kilka najsumieniej w niej pracował, z trudnością i kłopotami ciągle się borykając. Studium moskiewskim zawdzięczał nade wszystko wybitną znajomość języka łacińskiego, będącego wówczas wciąż jeszcze jednym z głównych języków nauki europejskiej (por. w Polsce w owych mniej więcej latach łacińskie pisma Konarskiego). Pilnością, zdolnościami i inteligencją zwrócił na siebie uwagę władz szkolnych i jeden z niewielu otrzymał stypendium zagraniczne. Było to drugie wydarzenie decydujące dla kolejnego życia: zamiast po skończeniu Akademii iść w służbę do cerkwi, wchodził w świat nauki. Kilkuletnie studia w Niemczech nad matematyką, fizyką, chemią, filologią i filozofią, uzupełnione podróżami, nadały jego wykształceniu charakter wszechstronny, encyklopedyczny. Młody uczyony wracał do kraju, aby rozpoczął nowy etap pracy: w r. 1741 został adiunktem w Akademii Nauk, w r. 1745 profesorem chemii i członkiem Akademii — drugi obok Trediakowskiego Rosjanin, który

te godność otrzymał. W ten sposób zaczęło się rozsądzenie niemieckiej dotąd Akademii. Mimo zawiści akademików Niemców, utrudniającej mu działalność samodzielną, Łomonosow z nieustępliwością pracował w dziedzinie nauk przyrodniczych, pierwszy wystąpił z publicznymi wykładami o chemii, przyczynił się poważnie do utworzenia Uniwersytetu Moskiewskiego i związanego z nim gimnazjum, zasiadał w rządzie Akademii Nauk. Ją realizować zadanie swoje główne: niósł w świat rosyjski prawdę o życiu i zrywał przesady, które na myśli ludzkiej osiadły, wyniki swojej naukowej działalności czynił tematem poezji własnej, ją bowiem oddał na usługi wiedzy, zgodnie z poglądami epoki oświeczonej, ale oddał ją także na usługi polityki — zgodnie z tendencjami atmosfery dworskiej, która i na niego działać musiała. Neustępliwa, żmudna praca i nieregularny tryb życia niszczyły organizm nawet tego siłacza, który siłą zadziwiał tak samo jak zadziwiał wzrostem i energią. Licząc zaledwie 54 lata, umarł w r. 1765.

Ze względu na uniwersalizm zainteresowań i prac, słusznie nazywał go Puszkina „pierwszym rosyjskim uniwersytetem”; Mickiewicz zaś tak go scharakteryzował: „Łomonosow stworzył epokę ciągnącą się aż do Karamzyna czyli do czasów Aleksandra I. Nie tylko wyniósł on swoje narzędzie do godności języka, napisał pierwszą jego gramatykę, wydał wiele dzieł prozą, traktatów z fizyki, astronomii, metalurgii, ale w całym tym okresie literatura rosyjska idzie za nim, ma na sobie piętno jego charakteru, a w liryce trzyma się jego miary i toku”.

Łomonosow faktycznie położył podwaliny pod nowożytną naukę rosyjską i położył podwaliny pod nowożytną poezję rosyjską. Chemik, fizyk, mineralog, astronom, historyk, lingwista i poeta, — tą wszechstronnością przypominał ludzi epoki renesansu: był pierwszym Rosjaninem, który naukę najwyższą w hierarchii wartości stawiał i pełnej wolności badań domagał się. Nauka atoli w jego pojęciu miała służyć życiu i spożywać szczęścia ludziom. Badania naukowe miały być oddane na użytek społeczeństwa. Te tezy Łomonosow często powtarzał i akcento-

wał. Tak samo jak Frediakowski i on rozumiał, że jest rzeczą nieodzowną zmienić dotychczasowy skostniały język literacki, zachwasy czony barbarzyzmami i przytłoczony całkowicie słowami i zwrotami cerkiewszczyzny. Tak więc język używany w swojej ziemi rodzinnej, z rozmaitymi właściwościami dialektycznymi północnymi Łomonosow uznał za narzędzie myśli i sztuki literackiej, w nim pisał dzieła naukowe i poetyckie, o nim w roku 1755 ułożył gramatykę. Była to pierwsza gramatyka języka rosyjskiego. Łomonosow nie odrzucił atoli całkowicie języka staro-cerkiewnego, pozwolił na dalsze posługiwać się w mowie i piśmie poszczególnymi jego słowami, przede wszystkim jednakowymi z językiem ludowym (np. Bóg, sława) lub łatwo zrozumiałymi. On pierwszy w rozprawie „O pożytku ksiąg cerkiewnych” zażądał indywidualizacji stylu, zależnie od gatunku literackiego: wysokiego, uroczystego, stworzonego z zespołów słów używanych w obu językach — dla poematu bohaterskiego (eposu), ody i krasomówstwa; średniego, stworzonego głównie ze słów rosyjskich, ale z lekką przymieszką terminów starocerkiewnych — dla tragedii, satyry, elegii i dla prac historycznych; niskiego, stworzonego wyłącznie w języku rosyjskim — dla komedii, epigramatu, pieśni i prozy nie historycznej. On to także w swoich pracach naukowych położył podwaliny pod terminologię fachową, trafnie do stosowania do charakteru języka rosyjskiego terminy pochodzenia obcego, a przeważna ich część — zwłaszcza w dziedzinie językoznawstwa utrzymała się po dzisiejsze dni. On to wreszcie w rozprawie o rymotwórstwie zażądał — tak samo jak Trediakowski — usunięcia z poezji anachronizmu, nieliczącego się z charakterem języka, mianowicie akcentu sylabicznego na rzecz akcentu tonicznego, polegającego na właściwym rozmieszczeniu w konstrukcji wiersza członów akcentowanych i nieakcentowanych, w ten bowiem sposób akcent rytmiką wywołany pokrywał się z akcentem normalnych wyrazów.

Pracę naukową uważał Łomonosow za swoje główne zajęcie, pracą literacką za rozrywkę: „wierszopistwo to moja przyjemność, fizyka — to moje zajęcie główne”. A jednak tę rozrywkę pojmował jako obowiązek społeczeństwa. Pragnął wyrównać zaniedbania w literaturze rosyjskiej i sięgał do wszystkich trzech poezji: stworzył epos („Petriada”), dramaty („Tamara i Selim”, „Demofont”), ody. Pisał z potrzeby wewnętrznej; dawał wyraz zachwytowi wypełniającemu go w miarę jak w przyrodzie zjawiska nowe, a nawet zgoła zwyczajne, oczyma uczonego odkrywał lub badał; problemat naukowy albo stawał się bodźcem dla wywołania przeżyć artysty, albo też domagał się popularyzacji w formie poetyckiej. Tak powstały najważniejsze utwory w literackiej twórczości Łomonosowa: ody filozoficzne. Z powodu rozmaitych okoliczności, dyktowanych warunkami życia w ustroju absolutystycznym, zmuszony był do uchwycenia za pióro, a wtedy układał ody aktualne, polityczne. A wreszcie na zamówienie, to znaczy na żądanie czynników urzędowych napisał wspomniane już dramaty oraz epopeję „Piotr wielki”.

Najsłabsze w Łomonosowym do robku były dramaty; najwyżej ceniono epos, którego tylko część pierwszą uczony poeta ułożył i wydał. W istocie była to kronika rytmowana, z wielu szczegółami historycznymi, nawet ciekawymi, wydobytych przez erudyte ze źródeł historycznych, atoli zbyt czynnymi dla poezji. Sumiennosc szpe racza i sposób myślenia człowieka z zagadnieniami nauki parającego się zabijały patos poezji. Temat bowiem sam owej epopei, niejednokrotnie przez innych opiewany — nawet przez Puszkina — miano wicie bitwa Poławska był istotnie godny poezji. Na szczegółach, na epizodach, na technice zaważyła dobra znajomość epopei antycznych, ale to nie ratowało całości męczącej, ciężkiej, nudnej.

Zachwycali się współcześni oдами. Nas atoli, część ich, mianowicie panegiryczne, polityczne, aktualne, stworzone w stylu „wysokim” tj. uroczystym, patetycznym interesują tylko jako dokument epoki i jako przykład jak jednostki wybitne nie umiały się wyrwać spod jarzma narzuconego na myśl, sztukę i życie. Są wymuszone i napuszone, sztuczne i zimne, sadzą się na ozdobność, udają szczerość. A jednak nuta szczerości istotnie chwilami tu rozdziewkała, gdy Łomonosow ton z serca wydobywał, gdy wielbił Piotra i jego zasługi — stworzenie armii i floty, położenie podwalin pod naukę, gdy piękno i bogactwo rosyjskiej ziemi sławił, gdy o nauce, o jej dostojności prawil. Styl wtedy nabrzmiewał życiem serca. Znamienne są w tym względzie po jedyńcze momenty „Ody nad dzień wstąpienia Elżbiety na tron” w r. 1747, gdy zwracając się do carycy z entuzjastycznym wzywaniem ją przejęciem:

Spojrzyj na góry przewysokie,  
Spojrzyj na pola swe szerokie,  
Gdzie Wołga, Dniepr, gdzie pły nie Ob:

Bogactwa ich w ukryciu tajne  
Dzięki nauce będą jawne...

albo gdy w odzie z roku 1748 wielkość i wspaniałość Rosji opiewał, a w tym celu ażeby wielkość tę zasugerować samą koncepcją artystyczną, przedstawił Rosję jako gigantyczny rozmiarami posąg:

Ona, sięgnąwszy aż obłoków,  
Nie widzi końca swej dzierzawy,  
A syta hucznogrzmiającej sławy,  
Spoczywa pośród łąk otoku.  
I pośród pól świetnych płodami,  
— Gdzie Wołga, Don, i Niewa

Swoich preczystych wód falami

Szemrając, niosą stadom sen,  
W step wyciągnąwszy nogi, siedzi,  
A przez ten step chińscy sąsiedzi

Przestronny dla się wznieśli

mur.

Wesołym wkrąg spoziera wzrokiem

I rozkosz liczy; zasię łokieć

O szczyt kaukaskich wsparła gór.

Wyszukana forma utworu, to znaczy staranny i dostojny język i styl, wzorowa składnia i przemysłana konstrukcja całości obrazu wydobywały silnie dostojność tematu.

Za najlepsze uznaje wolno ody i pieśni dydaktyczne (np. o pożytku szkła) i filozoficzno-religijne („Poranne” i „Wieczne rozmyślanie o wielkości bożej”), poeta cały pomysł niekiedy czerpał z psal-

mów, niekiedy wyrażenia pojedyncze i zwroty; wypowiadał swój pogląd na świat, głosił przyrodę stanowi objawienie Boga, ale jednocześnie omawiał zagadnienia związane z własnymi nad nią badaniami.

Tak np. w „Rozmyśleniach rannych” uprzytamniał zgodne poglądami nauki, że gdyby człowiek był w stanie spojrzeć na niebo, to miałby wrażenie, że jest „wiecznie gorącym oceanem”, rego:

Ogniste fale się wzbijają  
I brzegów nie znachodzą;  
Płomienne wichry się skreślają  
Walcząc na wieków drodze.  
Jak woda kipią tam kamienie  
Gorący szumi deszcz strumienia

Choć religijne tradycje młodego Łomonosowa wiernie do śmierci sobie nosił, jednakże nie one cydowały o jego postawie wobec świata zjawisk, ale dochodziły naukowe; dlatego w poezji z tymem o relacjach nauki i nie zaważał się np. przedstawiając poglądów uczonych na problem zorzy polarnej.

Żywiość i rzutkość myśli Łomonosowa były nazbyt wielkie, się on wyłącznie w sferze zagadnień naukowych mógł wyżyć; sjonowały go sprawy najróżniejsze — socjalne, polityczne, dydyczne. Spoglądał na życie z wieczną ciekawością dużego dziecka, które chce wszystko wiedzieć i wszystko poznać. Ale nie ograniczał się do powtarzania tego, inni stwierdzali — o każdej rzeczy chciał mieć swój sąd własny, samodzielnie zdobyty. Samodzielność myśli stanowi najpiękniejszą cechę Łomonosowa. Dla kultury rosyjskiej wieku XVIII był wiskiem doniosłym, był rzeczą, którą lub bodaj poruszał wszystkie najważniejsze problemy życia nauki, wyjaśniał je, uczył myśli i przyczyniał się do podniesienia umysłowego poziomu.

Surowa północna rodzinna młoda wyrobiła w chłopię-samowolność i hart ducha; samowola nauczyła go szacunku dla dzy i rozpałiła w nim żądę dzy; a chyba młode wichry nocy zaprawiły myśl jego w chłynie, trzeźwym obejmowaniu wisk życia. Na swoich barach wielkoluda dźwignął od razu i nocześnie naukę rosyjską i miennictwo po nizinach dotąd dżące i podniósł je sam wysze do gór. Był pierwszym wielkim uczyonym i pierwszym poetą samodzielnym. Literaturę uwolnił bezmyślnego powtarzania tego, inni wymyślali, zażądał samodzielności myśli, samodzielności jej i bodaj względnej samodzielności formy literackiej. Poezji treść naukową, stworzył po filozoficzną, a tak oderwał literaturę od grasującego po niej bodnie nałóg banalności i nadości. Dbałością o piękno wyraża co prawda nieraz wielce sztuczne — położył fundament pod artyrski. Otwierał podwoje nowożytnej myśli i piśmiennictwa rosyjskiemu.

Stanisław Kolbuszewski  
(Bibliografia: Wydanie zbiorowe Akademii Nauk, 7 mów (1891 — 1934); monografia popularno - naukowa B. N. Miszuskina „Żiznieopisanie Michai W. Łomonosowa” Moskwa 1937 (Wyjątki wierszy Łomonosowa w tłumaczeniu autora).

UKAZAŁ SIĘ

**KATOLICKI KALENDARZ  
GŁOSU KARMELU  
na rok 1950**

Stron 80 Cena 120 zł + przesyłka 10 zł

Zamówienie i wypłaty kierować:

Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych

KRAKÓW ul. Rakowiecka 18

P. K. O. IV 842/123

# Na półkach księgarskich

## Płk. Willoughby wygrał wojnę dla siebie

Stefan Heym pisarz amerykański — podobno pochodzenia czeskiego — dał się poznać czytelnikowi naszemu powieścią p. t. „Zakładnicy”, wydaną jesienią ubiegłego roku. Nie była to literatura najwyższej klasy — ot sensacyjny romans z pseudo-ideowymi pretensjami. Naiwność fabularna w okresie czeskiego ruchu oporu rekompensowana była jedynie wartkim tokiem narracji. Była to książka, której nikt po przeczytaniu nie zostawia w swej bibliotece, odstępuje chętnie znajomym; nie ma sensu jej trzymać. Przyznam się szczerze, iż z podobnym uczuciem brałem się do lektury dwóch obszernych tomów wydanej niedawno „Inwazji” — tegoż p. Heyma. I cóż za rozczarowanie!

Gdyby nie nazwisko nikt by nie przypuszczał, że obie powieści stworzył ten sam autor. „Inwazja” zamiast być jak „Zakładnicy” powieścią sensacyjną bardzo średniej miary, o naciągniętych, źle wykonanych przez autora realiach — jest powieścią polityczno-sensacyjną pierwszej — nie waham się tak ją ocenić — klasy. Heym zna świat — sądzi, że z autopsji — realia opisywanych w „Inwazji” wydarzeń. To już nie jest mityczny dla Amerykanina ruch oporu — to jest inwazja na kontynent europejski z lat 1944-45, którą wielu z nich przeżyło, w której brała udział wielka masa dziennikarzy, pisarzy, piszących oficerów i żołnierzy. Powieść zaczyna się w miesiąc po wyładowaniu w Europie na polu walk jeźdźców w Normandii i Bretonii, potem opowiada o zajęciu Paryża, o grudniowej kontrofensywie wojsk hitlerowskich, o pierwszych i ostatnich walkach na terenie Niemiec, o kapitulacji, wyzwoleniu obozów, wreszcie — co najciekawsze — o początkowych miesiącach okupacji, kiedy to oficerowie amerykańscy bezradnie próbowali rozwiązać zagadkę administrowania Niemcami, szamocąc się w problemach demaskacji, nie umiając przeciwstawić się wyraźnie poczynającym się akcji neo-hitlerowskiego podziemia. Niezwykle bogatą jest akcja powieści, doskonale zrobionej pod względem kompozycji, rozłożenia akcentów napięć i punktów rozwiązania. Pod tym — i tylko pod tym — względem „Inwazja” przypomina „Zakładników”. Też czyta się ją znakomicie, gdyż autor ani na chwilę nie zapomina o zasadzie, że komentarze jego są zbędne, wszystko winny wyrażać rozmowy i postępek bohaterów. Tak też buduje swą książkę, która kipi wprost od materiału fabularnego.

Powieść Heyma ma przy tym bardzo wyraźną wymowę polityczną. Jest oskarżeniem — oskarżeniem bardzo subtelnym, wcale nie demagogicznym, polityki amerykańskiego rządu na odciśnięcie sprawy niemieckiej. Heymowi chodzi o to, że rząd amerykański idąc z inwazją na kontynent nie podjął żadnej akcji polityczno-ideowej, która by żołnierzom czy oficerom sprzeciwiała ideowe przesłanki wojny. Żołnierze amerykańscy poza kilkoma, z których jeden okazuje się wyrzuconym z Niemiec przed laty Żydem, nie wiedzą o co walczą, gorzej, nie bardzo wiedzą o kim walczą. Jedni walczą z przymusem mobilizacyjnego, inni dla sportu, cały szereg dla wyraźnych korzyści materialnych, i to w skali szerokiej, od zwykłych machlojek magazynowych, którymi nabijają prywatną kase, aż po rozległe plany przemysłowo-gospodarcze chwilowych oficerów, nawet wyższych, a w rzeczywistości w cywilu potężnych businessmanów amerykańskich, których naczelną troską jest ukształtowanie nie-

mieckiego przemysłu z największą dla siebie korzyścią. Poza wyjątkami nikt w tej armii nie kłopotuje się sprawami ideowymi. Hitlerizm i faszyzm są poeci, wręcz z innej planety. Poza Ameryką ludzie ci nie znają świata, toteż gdy przyjdzie im stanąć wobec skomplikowanych zagadnień Niemiec powojennych gubią się w tym wszystkim, raz po raz narażając na ezwanek interesy własnego narodu i zaprzeczając rychło cały autorytet ideowy i moralny, który wyprzedzał armię amerykańską. I któż właściwie wygrywa „Inwazję” w okresie objętym powieścią: pułkownik amerykański, który wprawdzie haniebnie usunięty zostaje ze służby, gdyż na stanowisku dowódcy pewnego rejonu okupacyjnego popełnia szereg karygodnych przestępstw, ale który wypędzony z wojska uwozi do Stanów pakiety potrzebnych jego firmie akcji wielkiego koncernu niemieckiego.

W „Inwazji” akcja polityczna spleta się znakomicie z akcją osobistą, romanśową, sensacyjną. I chyba na takim przykładzie pisarze powinni się uczyć, jak można zrobić powieść trafną politycznie, o tendencji zupełnie wyraźnej, a równocześnie powieść fascynującą fabularnie.

Pułkownik Willoughby wygrał wojnę dla swego koncernu, dla swego amerykańskiej firmy. To drobiaz, iż na tym interesie płk. Willoughbyego źle wyjdzie kiedyś naród amerykański. Kto by się tam o to troszczył!

Czy tego rodzaju postawienie sprawy jest wymysłem pisarskiej fantazji Heyma?

W roku 1942 prezydent Roosevelt musiał wyznaczyć specjalną komisję śledczą z pośród członków Kongresu, która wytoczyła oskarżenie dyrekcji olbrzymiego koncernu Oil Standard, systematycznie ukrywającemu przed rządem amerykańskim posiadane przez nich wiadomości o sposobie produkowania syntetycznego kauczuku (buny lub butylu). A w tym samym czasie Stany Zjednoczone odczuwały katastrofalny brak kauczuku, co nawet zagrażało wygraniu wojny. Cóż było powodem tak wyraźnego antypatriotycznego stanowiska Oil Standard? Powiązanie kartelowe z IG Farben Industrie, które siecią umów patentowych tak potrafiło omotać dyrekcję koncernu amerykańskiego, iż dla tych ostatnich ważniejsze się stały ew. straty wynikłe z zatargu z IG, niż problem wygrania, czy przegrania wojny z Niemcami. To samo było z fabrykacją chininy, wskutek braku której żołnierze amerykańscy masowo marli na wyspach Pacyfiku. To samo było z aluminium, z obrabiarkami, z perskopami. Dyrekcje karteli lojalne wobec umów zawieranych z IG dbały starannie o to, by rząd USA nie zdobył patentów na produkowanie chemikaliów i sprzętu normalnie importowanego z Niemiec do USA. Nic dziwnego, że żołnierze amerykańscy nie wiedzieli o co walczą, jeżeli dyrektorzy firm amerykańskich walczeli skuteczniej z własnym rządem w obronie własnej kieszeni, niż z przeciwnikiem ojczyzny, z tym ostatnim mając stale wspólne interesy handlowe.

Równocześnie z „Inwazją” ukazała się u nas druga amerykańska książka. Już nie powieść, tylko reportaż, historyczno-ekonomiczna relacja Richarda Sasuly pt. „IG Farben” — dzieje jednego kartelu. Jeżeli powieść Heyma czyta się w napięciu, to relację Sasuly’ego w prawdziwej gorączce! Kawał autentycznych dziejów naszych — naszych nawet dosłownie, gdyż opisana tam jest walka, o której nie nam prawie nie wiadomo, naszych karteli che-

micznych z IG, po zajęciu Polski. Książka napisana w 1946, po czterech latach potwierdza się rozwojem sytuacji co do jednej litery. Tłumaczy niezwykle dzieje największego kartelu chemicznego na świecie. Ujawnia związki ogólno kapitalistyczne, idące wprost przeciwko odkrywu ich subtelne nici. Wreszcie dokumentuje nie tylko literacką postać płk. Willoughby’ego (dwie te książki należy czytać razem!) — ale przeplata dokładnie rozwój gospodarczej sytuacji Niemiec. Przepowiednia już sprawdzona. Przemysł amerykański decydujący o polityce USA nie zniszczył karteli, nie zniszczył IG ani Kruppa, nie mógł tego uczynić, gdyż był on od nich uzależniony, zbyt był zainteresowany materialnie, wreszcie myślał i czuł identycznie jak Krupp, czy Duisberg (prezes IG). Dyrektorzy Standard Oil odmówili w 1943 roku (sam środek wojny, ciężkie zmagania USA z łodziami podwodnymi) rozważenia propozycji rządowych, żądających odstąpienia od powiązań kartelowych z IG. Inne koncerny zajęły tą samą postawę. Dla dyrekcji tych wszystkich karteli — IG, Du Pont i amerykańskich — istniała i obowiązywała tylko umowa ich własna, a nie polityka rządu, wojnę oznaczano w wymienianej po przez państwa neutralne korespondencji słowami delikatnymi „obecna napięta sytuacja, która gdy przeminie...” i tak dalej, patrz lata obecne.

Pasjonującą jest książka Sasuly’ego! A jak dalece pouczająca!!!

Adam Weber

## O drzeworycie

Dobre napisanych książek o technice drzeworytowej, jej historii, wartościach estetycznych i ornamentacyjnych nie mamy w naszej literaturze naukowo-popularyzatorskiej zbyt wiele. Prace prof. Bystronia, Polkowskiego, a ostatnio w pewnej mierze Banacha („O ilustracji”) mają charakter prac wstępnych, zapoznawczych i w żadnym wypadku nie wyczerpują tematu. Odczuwa się w tej dziedzinie brak rozpraw możliwie szczegółowych i wyczerpujących. Uzupełnienia tego braku spodziewaliśmy się po pracy Mieczysława Opałka\*) ale, niestety, autor zawiódł nasze nadzieje.

Dał nam w rezultacie pięknie napisaną i wzorowo opracowaną graficznie broszurę, w której tylko 22 strony poświęca zasadniczemu tematowi, na pozostałych dwudziestu dziewięciu lokując ku zaskoczeniu czytelnika encyklopedycznie napisany słowniczek drzeworytników polskich dziewiętnastego stulecia, oraz zamieszczając na wstępie książki zarys historii drzeworytu w Polsce i zagranicą (14 stron).

Sam temat poruszony przez M. Opałka wydaje się b. ciekawy, a przede wszystkim jak dotąd prawie nieknięty.

Autor po większej części zadawała się omówieniem historyczno-technicznej strony drzeworytu, użył litanią nazwisk.

\*) Mieczysław Opałek: „Drzeworyt w czasopiśmiennictwie polskim 19 stulecia”, Ossolineum, Wrocław 1949 r.

Jeśli można mówić o niewątpliwych walorach książki, to poza nadzwyczaj starannym, wręcz pokazowym opracowaniem graficznym, wyróżnia się ona dobrym rozłożeniem materiału faktycznego tudzież krótkim, ale z połosem napisanym wstępem.

Przy analizie rysu historycznego drzeworytu odtwórczego autor wychodzi ze słusznego i zresztą niejednokrotnie akceptowanego założenia, że z drzeworytu wyrosła sztuka drukarska. Jednak swój triumf święci drzeworyt dopiero w połowie 16 w., gdy żyją Dürer, Holbein, Kranach, u nas Stanisław Stwos, syn Wita.

Od 17 w. panuje w rysownictwie miedzioryt, a drzeworyt w postaci tzw. koltrzyn, czyli odbitek papierowych na ściany, robionych sposobem drzeworytniczym, wegetuje na wsi, po dworach szlacheckich.

Odrodzenie ksylografii następuje za przyczyną Beicka, w połowie ub. stulecia.

Wnet też zjawia się drzeworyt w ówczesnych czasopiśmiennictwach polskich, zadowiać się na pewien czas w „Magazynie dla dzieci”, „Wolnych Zartach”, „Magazynie Powszechnym”. Celują w tej sztuce dyletanci-artyści, jak Wincenty Smokowski, z zawodu lekarz, Edward Dąbkiewicz, Jan Münchheimer, który ma swą pracownię w Warszawie.

Atoli rozpowszechnienie się drzeworytu w czasopiśmiennictwie polskim, wedle Opałka, zaczyna się od r. 1859-60, kiedy powstaje „Tygodnik Ilustrowany”. Przy redakcji istnieje specjalna drzeworytnia, a w niej rozwijają się talentowani drzeworytnicy: Jan Styli, Józef Pokorny, Puc, Wł. Dojarski i in. Dalej Opałek przedstawia nam „Kiosy” od strony graficznej, które pod kierownictwem Lewentala chętnie udzielały miejsca dobrym drzeworytom Regulskiego i Styliego po mistrzowskiemu odzwierciedlającym ryciny Koesaka, Kostrzewskiego i Andriolego. Wynalazek autotypii dokonany przez Niemca Meisenbacha (1881), torując drogę fotografii zastąpił drzeworyt cynkografii. Odtąd drzeworyt nie odbijano z kłosek, lecz reprodukowano sposobem cynkograficznym, jakościowo pomniejszając jego wartość. Autor prawie na marginesie wspomina o winietach okładowych „Strzechy”, „Bluszczy”, „Kiosów” widząc w nich głęboką symbolikę, nie dostrzegając natomiast wyegzaltowanej sielanki i przesadnego sentymentalizmu. Słowniczek drzeworytników polskich 19 wieku ma szereg braków i niedociągnięć, z których we wstępie usprawiedliwia się autora.

Na końcu książki znajdujemy reprodukcje drzeworytów odzwierciedlających wspaniałe ryciny Witkiewicza, Szemera, Tegazzo, Korsaka, Andriolego i innych.

W sumie pracę M. Opałka warto wziąć do ręki i przeczytać.

J. Semeńko

## Ilustracja w oczach estetyka

Banacha znamy z cyklu artykułów w „Dzienniku Literackim” poświęconych estetyce sztuki. Ostatnio wydana jego praca\*) to przystępne dla wszystkich, jasne, nie zagmatwane w swej naukowości rozważania estetyczne o ilustracji na przestrzeni dziejów u nas i zagranicą. Autor zaczyna je od analizy znaczenia ilustracji. Analiza jednak nie jest przeprowadzona starannie i możliwie wyczerpująco. Uderza szkodliwy schematyzm, zupełnie niepożądany lakonizm, gdy Banach na niespełna trzech stronach rozpracowuje wstępny temat. W dodatku rozdział ten o tyle autorowi się nie udało, że przeważnie poprzestał on w nim na podaniu truizmów (ilustracja — źródłem przeżyć estetycznych, dziełem sztuki, ściśle związanym z epoką. Ona to pozwala nam głębiej odczytać dzieje człowieka itp.). Po wstępnej analizie, która stanowi punkt wyjściowy dalszych dociekań, rozpoczyna się rys historyczno-estetyczny od narodzin ilustracji (15 w.) do czasów współczesnych. Autor zaczyna od „dróg rozwoju drzeworytu” w Polsce i za granicą. Rozdział jest napisany ciekawie, bezwzględnie, wciąga czytelnika w obręb poruszonych zagadnień; choć mógłby być skomponowany z większą dozą połoju, a zredukowaną do minimum historiograficzną oschłością.

Nie sposób całkowicie zgodzić się z autorem, że miniatury XVI wieku „ujmują swym realizmem”. Przede wszystkim realizm ich — to realizm groteskowy, w wielu punktach nadwyrażony abstrakcyjną wyobraźnią artysty, często-kroć nie uwzględniający dystansu i proporcji między figurą a przedmiotem.

\*) O. Banach: „O ilustracji”. Wyd. M. Kot, Kraków 1950 r., str. 171.

Jeżeli chodzi o stronę sensu strictly historyczną, autor rozpina przed oczy ma czytelnika — dzięki Bogu — nie zagęszczoną nazbyt sieć nazwisk i dat. A więc Polska: — zasłużony wydawca i drukarz Baltazar Behem, twórca bogato ilustrowanego „Kodeksu”, w 16 w. Jan Haller, Wiktor; Niemcy: — Albert Pfister, wydawca do skonałe ilustrowanych bajek Bonera, Holbein i Dürer; Francja: — Jan Dupre, z którego drukarni w końcu 15 w. wychodziły słynne „Livres d’Heures” („Godzinki”); Anglia: — William Caxton; Hiszpania: — Polak, Stanislaus Polonus, mający swą oficynę drukarską w Sewilli (15 w.) Dla niejednego z pewnością rewelacją będzie stanowić napomknięcie autora o działalności drukarskiej Niemca, Antoniego Kobergera, wydawcy osławionej „Kroniki Świata” Hartmanna Schedla, który uchytył się aż tak dalece, że jedną i tę samą ryciną ilustrował szereg różnych zdarzeń i wypadków. Oczywiście było to najzwyklejsze oszustwo.

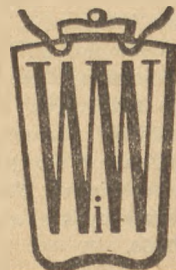
Interesująco wypadło skomentować nie przez autora przyczyn upadku drzeworytnictwa. Jego zdaniem są to względy wybitnie techniczne: niedociąganie, odbijanie na szaro drzeworytów. Zaważył tu jeszcze wgląd na jak najintensywniejsze zaspokajanie żądzy poznania ówczesnych ludzi. Drzeworyt, chwilowo, nie mógł temu sprostać, poszedł na czterysta lat w zapomnienie, wobec silnie rozpowszechniającej się ilustracji miedziorytowej.

Przyczyną jej narodzin — potrzeba jak najściślejszej wierności w odtwarzaniu wszelkich rzeczy. Po takim stwierdzeniu autor przechodzi do stanowczo za krótkich rozważań, a ściślej, może tylko niezbędnych objaśnień technicznych.

Wreszcie „antiquo more” pogrąża się w wartkim nurcie historii. Wspo-

(dokończenie na str. 12-cj).

WNĘTRZE I WYSTAWA  
PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA



PROJEKTUJE I WYKONYWA  
WNĘTRZA I WYSTAWY

\*) Stefan Heym „Inwazja” tłum. Jadwiga Oleńska Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza 1949. tom I — str. 370, tom II — str. 468.

\*) Richard Sasuly „I. G. Farben” tłum. z ang. M. Marciniak PIW — 1949 — str. 276.

# TYDZIEŃ

## Kłopoty z nauką o teatrze

W tydzień po świętach, dokładnie 17.IV, wypadła 110 rocznica urodzin największej chyba w historii teatru polskiego aktorki, Heleny Modrzejewskiej. Chęć uczczenia tej rocznicy krótką drogą prowadzi do poważnych rozczarowań: w żadnej chyba innej dziedzinie nie spotykamy tak rażącego braku materiałów jak właśnie w najprostszych choćby studiach z zakresu historii teatru.

Co można powiedzieć dziś o Modrzejewskiej? Że wielka aktorka, że wspaniała Maria Stuart w dramatach Słowackiego i Schillera, że zasłynęła za oceanem gdy z kraju ją wygryźli równie nieudolnie jak niesumienni recenzenci współdziałający z zawistnym otoczeniem z samego teatru, że...

Parę szczegółów życiorysowych i — jako jedyne udokumentowane — kilka fragmentów z kilku wspomnień pisanych ręką współczesnego Modrzejewskiej aktora, dyrektora teatru, pisarza, wspomnień zazwyczaj mało obiektywnych, przeważnie niekonkretnych, typowo okolicznościowych. Brak jakichkolwiek opracowań naukowych popartych autorytetem wiedzy, każe odnosić się do całości z trudem zebranych materiałów nieufnie.

Rocznica Modrzejewskiej przypomina nam tę sprawę, którą trzeba koniecznie uogólnić, albowiem urasta dziś już ona do wymiarów istotnego dla teatru w Polsce zagadnienia.

\*\*

Rok 1946, trzeci z rzędu w istnieniu miesięcznika „Teatr“, przyniósł zmianę formatu pisma i szereg interesujących zapowiedzi.

„W Polsce nigdy za wiele nie pisano, ani nie czytano o teatrze... W historiach literatury na szarym końcu omawianej epoki lub twórczości niektórych autorów, umieszczano nader lakoniczne zazwyczaj wzmianki o produkcji dramatopisarskiej“

„...Nie możemy się chlubić pracami z zakresu teorii dramatu czy techniki aktorskiej...“ — czytamy w wypowiedzi programowej (nr 1—2, str. 3) podpisanej przez kolegium wydawnictw teatralnych PIW.

Rzecz jasna, że w takiej sytuacji pełne gorczy jest serce każdego, kto pragnie żywiej i bardziej serio i naukowo interesować się teatrem. Egzemplarz Gregora (Veltgeschichte des Theaters) już prawie w proszku z powodu częstego przewracania kartek. W takim samym stanie Nestiepe (Das Theater in Wandel der Zeiten) i kilka innych prac zagranicznych, kupionych jeszcze przed wojną (dziś na wagę złota nie znaleźć nie można). Pana Orliczowa „próba sytenzy“ przestała już nawet śmieszyć.

Po wojnie z zakresu historii teatru otrzymaliśmy jedna tylko pracę. Skromność zamierzeń autora była tak wielka (sądząc z treści książeczki), że i tytuł pracy i nazwisko autora można pominąć milczeniem. Goręca pogłębia zostaje zazdrością. Weźcie do ręki którykolwiek z numerów radzieckiego „Teatru“ i zajrzyjcie do rubryki „Nowe książki“. Zazdrość to uczucie bardzo brzydkie, ale — niestety — ludzkie.

Brak książkowych wydań prac teatrológicznych hamuje rozwój teatru (pod słowem tym chcę rozumieć peł-

nię zagadnień) polskiego. Z tego trzeba zdać sobie sprawę.

\*\*

Ze specjalistami z zakresu teatrologii nigdy w Polsce nie było najlepiej. Smętnie jest i teraz. Na palcach jednej ręki udałoby się chyba policzyć wszystkich tych, którzy naprawdę mają tu coś do powiedzenia. Dramat polega nie na szczupłości kadr — od jednego, a dobrego uczyć się może wielu następców. Przejawem przerażającym jest wyraźnie występujące zjawisko ucieczki teatrologów-teoretyków do zajęć praktycznych teatru. Zjawisko przeraża ale nie zaskakuje. Każdy człowiek musi żyć. Nawet teatrolog. Nic dziwnego, iż ten rzadki gatunek człowieka wstaje od biurka i pędzi za kulisy, przyjmując na siebie obowiązki np. reżysera — za to mu zapłacą. Z czego żyłby nigdzie nie drukowany teatrolog?

Sprawę tę można znacznie rozszerzyć. Wołamy o dobrą recenzję pisaną przez fachowca, przez człowieka, który zna teatr nie tylko z częstego oglądania spektakli, ale i z teorii. Dobrym recenzentem będzie tylko ten, kto się temu zagadnieniu poświęci bez reszty. To nie było możliwe u nas nigdy, nie jest możliwe i dzisiaj. Recenzje piszą literaci lub dziennikarze traktujący ten wy-cinek swojej pracy jako coś dodatkowego, ubocznego. Jeśli się recenzent choć odrobinę doucza — to już wielki akt dobrej woli z jego strony. A jeśli w dodatku nie ma się ani z czego, ani od kogo douczać? Ma się ograniczyć do czytania recenzji swoich kolegów, podobnych mu

wolontariuszy w trudnym i odpowiedzialnym zawodzie?

\*\*

Przykład Modrzejewskiej nie jest najszcześniejszy. Pani Helena, jak ją po przyjacielsku zwano w teatrze, miała wiele pozateatralnych znajomości. Pisał przecież o niej nawet Sienkiewicz. Cierpliwszy badacz dogrzebie się tutaj kilku pozycji, które posłużyć mu mogą za podstawę do własnych opracowań.

Oprócz Modrzejewskiej mieliśmy w historii naszej sceny jeszcze sporo postaci, które wartoby poznać bliżej. I tu już posucha niemal zupełna, pustynna. A oprócz Modrzejewskiej, jej kilku wielkich poprzedników i kilkunastu dziś już nieżyjących następców, na naszych oczach przemijają ludzie tworzący niemałe rozdziały dziejów sceny polskiej. Jednym z najpilniejszych zadań teatrologii polskiej jest uratowanie przed zagładą niepamięci tego wszystkiego, co się tu jeszcze da uratować. Brak szacunku dla przeszłości często mści się na przyszłości. Nie będę tu wymieniać plejady nazwisk zapomnianych a godnych monograficznych i krytycznych opracowań. Każdy z niewielu czynnych teatrologów zna je na pamięć. Rzecz w tym, by tę własną znajomość pogłębić dalszymi, najbardziej źródłowymi studiami, przekazać społeczeństwu, dla którego już dziś Żółkowski, Kamiński, Rapacki, ba, nawet Mieczysław Frenkiel, to mity, o których (tak nakazuje dobry ton) mówi się z emfazą, z patosem, z przymykaniem oczu, ale bez jakiegokolwiek znajomości rzeczy. (t. b.)

## Helena Modrzejewska do Anny Wolskiej

W „Scenie polskiej“ z r. 1938 Krystyna Grzybowska podała do druku 24 listy Heleny Modrzejewskiej. Wydaje się, że przy braku materiałów dotyczących znakomitej aktorki listy te stanowią dokumenty niezwykłej wagi. Mało w nich wprawdzie mowy o pracy, wiedzy, wynurzeń osobistych — listy nie przez to nie tracą na wartości: poznamy z nich człowieka, co w żadnych badaniach nie jest bez znaczenia.

Ostatni list z tego cyklu, datowany 25 października 1903 roku w Kalifornii, adresowany jest do serdecznej i długoletniej przyjaciółki Anny Wolskiej, która — jak wynika z treści listu — zaczynała wówczas interesować się... spirytyzmem. Oto krótki fragment tego listu:

„A powiem Ci droga Andziu, Religia prosta, jasna, ta z której płynie cała moralność świata, która łagodzi umysły w postaci ducha i przynosi ukojenie duszom strapiionym, ta jedyna racjonalna, jest zanadto wielka lub zanadto surowa dla tężniejszych spaczonych zdegenerowanych umysłów. Szukają więc takiej wiary, która jest wygodniejsza i tworzą sobie różne dziwności, aby sobie dogodzić. To tylko dowodzi, że ludzkość nie-

może żyć bez wiary — ale czemu nie oddać się zupełnie wierze Chrystusa, która jest najwzniolejszą ze wszystkich religii świata. Cóż może być piękniejszego „kochaj bliźniego jak siebie samego“. W tych wyrazach mieści się cały świat miłości, przebaczenia — wyrzeczenia się zemsty i złości — litości dla biedniejszych od siebie i dążenie do doskonałości. Dla mnie dość jest odmówić z uwagą i przejęciem Ojcze nasz — aby nabrać siły do życia. Naturalnie Pan Jezus nie obiecuje nam, że będziemy latać z jednej planety na drugą i bawić się bezustannie ale obiecał nam jest niebo i modlitwy — a to zapewne nudne a może i niepewne dla niektórych ludzi albowiem powiedziane jest, że po śmierci nie tylko niebo czekać może, ale jest jeszcze inna brama otwarta gdzie jest trochę ciepło i nie tak rozkosznie jak na planetach, nie mówiąc już o czystości gdzie pokuta jest naznaczona.

O Andziu, moja kochana, droga duszo — porzuć te wszystkie brednie, a zwróć się do naszej starej wiary“.

## Ruch wydawniczy

### PIĘKNO POLSKI

„Nasza Księgarnia“ rozpoczęła wydawać w nowej szacie graficznej i w nowym formacie Bibliotekę Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — „Piękno Polski“.

Dobrze się stało, że pierwsze tomy tego wydawnictwa poświęcone zostały ziemiom śląskim i pomorskim, niedawno odzyskanym, a dotąd jeszcze mało znanym. Autorami tych tomików są nie tylko doskonale znawcy przedmiotu, ale rozmiłowani w pięknie ojczystego krajoznawcy członkowie Towarzystwa.

Dr Mieczysław Orłowicz ukazuje nam „Sudety“, Wanda Ludwig — „Ziemie Kłodzką“, Jan Grabowski — „Mazury i Warmię“. W najbliższym czasie ukaze się Czława Piskorskiego — „Zachodnie wybrzeże polskiego Bałtyku“. Poza tym ukazał się tom p. t. „Podhale“ — Reyehmana.

Każdy tom na wstępie posiada mapkę, zawiera rys historyczny każdej miejscowości, omówienie ukształtowania terenu, piękna krajoznawstwa, zabytków godnych zwiedzenia, teryny turystyczne.

Pożyteczne to wydawnictwo, któremu patronuje Polskie Towarzystwo Krajoznawcze powinno w swoim zasięgu objąć wszystkie ziemie polskie.

Niewątpliwie odda ono ogromne usługi wycieczkom młodzieży szkolnej, rzeszom wczasowiczów i turystów, jako bodaj jedyny przewodnik po tych ziemiach.

### TEKSTY ROSYJSKIE „CZYTELNIKA“

Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik“ zainicjowała od początku roku nowe seryjne wydawnictwo tekstów rosyjskich.

Przenaczone są one jako pomoc dla osób, przede wszystkim dla młodzieży, która pragnie samodzielnie nauczyć się po rosyjsku.

Toteż wydawnictwo zaopatrzyło każdy tomik w alfabet, lakoniczne zasady wymowy (wszystkie wyrazy rosyjskie z wyjątkiem jednozgłoskowych są akcentowane) i słowniczek.

Na teksty składać się będą wyjątki rosyjskiej klasycznej i współczesnej prozy i poezji, fragmenty prac publicystycznych wybitnych mężów stanu, polityków radzieckich.

Pierwszy zeszyt zawiera referat G. Malenkowa, wygłoszony 6 listopada 1949 r. pt. „W 32-gą rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej“.

Tomiki ukazywać się będą co miesiąc, a cena została ustalona na 70 zł.

Wydawnictwo ma zapewnić powodzenie.

### WYDANIE PAMIETNIKÓW A. FREDRY

Aleksander Fredro jest u nas znany przede wszystkim

jako znakomity komediopisarz, toteż dobrze się stało, że wydawnictwo M. Kot wypuściło w powszechnie znanej „Bibliotece Arcydział Poezji i Prozy“ (pod redakcją prof. Pigonia), dawno wyczerpane jego pamiętniki p. t. „Trzy po trzy“ w opracowaniu Henryka Mościckiego.

Autor pamiętników, młody oficer od specjalnych zleceń przy cesarzu Napoleonie, pisze swoje pamiętniki z ogromnym talentem narracyjnym, z plastyką i humorem, toteż czyta się je z niesłabnącym zainteresowaniem, choć panuje w nich przedziwny beład i posiadają luźną kompozycję. Autor przerzuca jakiś wątek, aby pochwycić nowy, czyni liczne dygresje i wplata anegdoty i dyktoryjki.

Fredro, choć brał udział w wielu kampaniach i zwiedził kawał świata, pisze w swoich pamiętnikach tylko o tych zdarzeniach, które sam widział i których był uczestnikiem.

Pamiętniki przynoszą wiele nowego i ciekawego materiału do zrozumienia epoki i ludzi i należą do najcenniejszych pozycji w naszej literaturze pamiętnikarskiej.

### CIEKAWY WYDawnictwa „PRASY WOJSKOWEJ“

Wydawnictwo „Prasa Wojskowa“ uprzyściplniło nam ostatnio kilka ciekawych książek autorów radzieckich, znanych popularyzatorów.

J. Perelman — „Astronomia dla wszystkich“. Praca ta doskonale ułatwia czytelnikowi zrozumienie zasadniczych faktów astronomicznych. Autor dla rozbudzenia zainteresowania, jak zaznacza na wstępie — użył formy niezwyklej, często paradoksalnej, a zjawiska pokazał z nowej niespodziewanej strony. Wielokrotnie odrzucił cały balast obliczeń i wzorów.

W poszczególnych rozdziałach pisze o ziemi, księżycu, planetach, gwiazdach i ciężeniu.

Nieomówionymi dotąd tematami zajął się autor w następnej swej książce p. t. „O zajmującej astronomii“.

W. P. Wnukow — w książce „Fizyka w służbie obrony kraju“ omawia zdobycze nauki i techniki, które zamiast służyć dla celów ujarzmienia przyrody są najczęściej użyte dla wojny zabójczej. Autor wykazuje jak mechanika, gaz, ciepło, głos, światło, prąd elektryczny, fale elektromagnetyczne, promienie i energia atomowa zostały wykorzystane dla niecznych celów, dla fabrykowania środków i narzędzi mordu.

Książka została przetłumaczona i uzupełniona przez inż. Mieczysława Michalowicza i rozdziałem „Przyszłość energii atomowej“ — pióra dr Michała Muszkata.

Stanisław Podlewski

POPIERAJ CIE  
KATOLICKI  
UNIwersytet LUBELSKI

# KULTURALNY

## Teatr

### Komedia satyryczna czy farsa

Nie udała się, niestety, Teatrowi Narodowemu realizacja „Świątoszka”.

Po tym surowym, choć ogólnym stwierdzeniu, trzeba natychmiast, bez bawienia się w wygłaszanie pesymistycznych uwag o zawodzie i rozczarowaniu, bez wypominania scenie, o którą idzie, jej nazwy, przejść do umotywowania opinii. Taki jest bowiem obowiązek krytyka. Na tym polega współpraca recenzenta z teatrem.

Zacznijmy od omówienia kilku fragmentów, kilku najsmutniejszych scen.

Imię Orgon wraca, po dwudniowej nieobecności do domu i przywoławszy Dorynę, stawia jej pytanie:

No, niechajże mi panna nowiny opowie.

Przez te dwa dni co słyhać, czy wszyscy tu zdrowi (akt I scena 5).

Następuje kapitalna nie tylko w swym dowcipie, ale i w znaczeniu dla całej komedii relacja Doryny przerywana przez Orgona tylko powtórzonym kilkakrotnie pytaniem: „A Tartufe”? i stwierdzeniem: „Biedaczek”. Założenie sceny bardzo proste: widownia w ciągu kilku minut ma się dowiedzieć właściwie wszystkiego o Orgonie. Idzie o to, by jak najbardziej wypuklić fakt, iż człowiek ten jest całkowicie opanowany przez Tartufa, że jedyne nowiny jakie go istotnie obchodzą, dotyczą tej właśnie osoby.

Realizacja tej sceny nie powinna nastroić większych trudności. Doryna chce pokazać jednemu świadkowi tej rozmowy, Kleantowi, jak daleko posunęło się zaślepienie pana domu. Ale już po pierwszym „A Tartufe” traci cierpliwość. Porywa ją pasja, która świadomie nakazuje coraz mocniejsze koloryzowanie słabości Elwiry i coraz bardziej gryzącą ironię w stosunku do Świątoszka. Orgon ze swojej strony ze zwiększającą się niecierpliwością oczekujący wieści o Tartufie, coraz bardziej lekceważy to co mu mówią o żonie i pragnie tę część relacji przyspieszyć, by tym więcej rozkoszować się, aż do jakiegoś rozczewnienia, każdym słowem o Świątoszku. Scena winna więc obustronnie narastać do zdecydowanego kontrastu między pełnym „rozklejeniem się” Orgona, a bezsilnym gniewem Doryny.

Teatr Narodowy pokazał nam tę rozmowę w sposób mdły i zupełnie nie przekonujący. Doryna ani na moment nie przyspiesza toku opowiadania wypowiadając je stale na jednym tonie — Orgon usiłuje operować słowem: „Biedaczek”, robi to jednak w sposób, który nie wskazuje na głębsze przemyślenie. Scena mija bez echa sygnalizując po raz pierwszy jeden z głównych błędów spektaklu: powierzchowne opanowanie tekstu, bez uwidocznionego rezultatem próby głębszej interpretacji postaci.

To samo zjawisko dostrzeżemy w większym jeszcze stopniu za chwilę, gdy akcja dotyczy się do wspańszej sceny „zwad miłosnych” (akt II scena 4). Znowu ten żenujący brak gradacji, doprowadzenie rozmowy po linii najmniejszego oporu, po linii prostej miast po linii silnie i gwałtownie rosnących napięć, łagodzonych kapitalnymi w swej misterności rozkładowaniami. Ani Walerę, ani — niestety — (mówię tak, pamiętając wykonawczynię z roli w „Sługach pańskich”) Marianna nie zadali sobie trudu przeprowadzenia sceny. Za parę aktorów gra znakomity tekst Moliera, ale jeśli uznamy, że to ma nam wystarczyć to powstanie pytanie: po co istnieje teatr.

Powierzchniowość interpretacji, zbyt beztrojskie liczenie na geniusz Moliera

doprowadziło w konsekwencji do całkowitego niemal wypaczenia koncepcji pierwszych dwu aktów komedii. Akty te, nikomu chyba tego udowodnić nie trzeba, stanowią jedną z najwspanialszych w całej literaturze dramatycznej ekspozycji komediowej. Ciągłe jeszcze nie widzieliśmy bohatera wskazanego w tytule, a mimo to narasta nam on przed oczyma od szkicowego konturu do pełnej, wyrazistej, plastycznej postaci, tak, że wchodzący na scenę Tartufe jawi się nam jako osoba doskonale znana. Tak zamierzył swą ekspozycję Moliere; tak ją zrealizował. Po innej niestety linii poszła omawiana realizacja komedii. O Tartufie mówi się owszem, ale tak, że jest on ciągle jakimś trochę mitem, trochę strachem na wróble. Dwa akty „Świątoszka” noszą w Teatrze Narodowym nienapisany tytuł: Doryna. Służące w komedii Moliera odgrywają zasadnicze role. Często nakazuje im autor być główną sprężyną akcji. Ale nie tylko dlatego, by sprężyną te miały pole do popisu, pisał Moliere swoje komedie: miały one zawsze pomagać do osiągnięcia innego, znacznie ważniejszego celu. Niezrozumienie tej, zdawałoby się tak prostej sprawy, zaciążyło nad spektaklem w sposób zupełnie widoczny. Do ryma, pokazana na scenie Teatru Narodowego nie bez talentu, przekraczała bardzo często przyznane jej przez autora granice, działając w ten sposób na szkodę spektaklu.

I wreszcie, aby nie zagubić się w powodzi szczegółów, dwie sceny między Tartufem i Elmirą (akt III scena 3 i akt IV scena 7). Idzie nam tu o Tartufa. Odtwórca tej roli usiłował odtworzyć pamiętną sprzed wojny kreację Jaracza. Można by długo i obszernie dyskutować na ten temat czy jest sens pokazywać Świątoszka jako człowieka przeżywającego cokolwiek. Wydaje mi się, że robienie z obłudnika postaci dramatycznej wypacza założenia autora. Ale mniejsza z tym, zwłaszcza, że Tartufe w realizacji obecnej, mimo wyraźnych chęci wykonawcy, nie został

„uczłowieczony”. Zabrakło możliwości wielkiego poprzednika. Jaracz miał do dyspozycji cały, jakże bogaty arsenał środków swego olbrzymiego talentu. To co u niego było grą w wielkim stylu, tu na miłą pachniało „gierkami”. Między dwoma indyferentnymi gestami zachodzi nieraz zasadnicza różnica, tak wielka, że jedno nazywamy grą, drugie gierką. Aby drobne skrzywienie ust mogło na było nazwać grą, trzeba, by miało ono logiczny związek z treścią wewnętrznej postaci. Jeśli się je doczepi dla jakiegoś urozmaicenia, bez związku, bez potrzeby, jeśli ono nie nie wyraża — staje się gierką. Na to nie ma rady. Dużo takich gierek ma na swoim sumieniu Tartufe z omawianego spektaklu.

To byłoby w zasadzie wszystko co trzeba by powiedzieć, aby zarzut przedstawionemu spektaklowi na wstępie znalazł swe uzasadnienie.

Przedstawienie było chaotyczne, nie należycie opracowane i powierzchowne. Wykonawcy mówili tekst Moliera bez próby wyciągnięcia z tego tekstu wniosków, normujących ich grę. W tym chaosie pogłębianym w dodatku nadmiarem sztucznych dodatków i gierek (pełno ich zwłaszcza u Orgona i Tartufa) zagubił się sens komedii. Wyszło z tego zuchwał kampanii przeciw obłudzie farsy o dziwnych i śmiesznych perypetiach pewnej rodzinki, którą rządzi służąca.

W ten sposób, wskutek nagromadzenia się błędów, które wyrastają konsekwentnie jeden z drugiego a wywodzą się z niedopracowania koncepcji realizacyjnej, stępiła się ostrze satyry, gubi się ją w farsowych trickach i zaprzeczających się nie tylko okazję ale i obowiązek oddziaływania na widza w sensie wychowawczym. Spektakl „Świątoszka” właściwej swej roli społecznej absolutnie nie spełnił.

Jest rzeczą zespołu Teatru Narodowego ustalić, kto tu pociąga winę: reżyser? wykonawcy? kierownictwo artystyczne? może wszyscy razem?

M.



Jedna ze scen w „Świątoszku”

## Postulaty

„Niemy” L. Kruczkowskiego doczekały się radiofonizacji, doczekały się również specjalnego konkursu na recenzję. Słuszne jest zwrócenie się o opinię do słuchacza — niemniej jednak wydaje się, że nie wyczerpuje ono sprawy, rozwiązuje ją jedynie w wąskim zakresie. Nagrody zostaną rozdane, Biuro Studiów P. R. uzyska nowy materiał. Być może kilka recenzji zostanie wydrukowanych w „Radio i Świat”, może wyniki konkursu zostaną omówione w pięciominutowej pogadance — ale słuchacz nie zostanie wciągnięty w dyskusję, dotknie jedynie wąskiego odcinka zagadnienia.

E. Bury poruszając w pierwszym numerze „Przeglądu Radiowego” zagadnienie krytyki radiowej zwraca uwagę na fakt, że Polskie Radio w 1946 roku wystąpiło z inicjatywą stworzenia Klubu Sprawozdawców Radiowych, jednak poza krótkotrwałym doraźnym zainteresowaniem nie przyniosło to dalszych rezultatów. Omawia dalej trudności recenzji radiowej i wymienia na pierwszym miejscu brak umiejętności słuchania radia (przypadkowość). Wskutek czego wiele audycji wartościowych, czy ciekawych przepada nie budząc echa. Po drugie — słabą znajomość rzemiosła radiowego i wynikające stąd małe możliwości krytyków i ograniczenie ich wypowiedzi. Trzeci moment to niepowtarzalność audycji — jednorazowe wysłuchanie często nie wystarcza do oceny, a jednocześnie powoduje obawę, że ocena audycji, która już była nadana, przeminęła, nie dociera do słuchacza i nie wywołuje spodziewanego efektu. I wreszcie moment ostatni: krytycy są na ogół wzrokowcami podczas, gdy radio to domena wrażeń słuchowych. „Czy przytoczone momenty w ogóle wykluczają możliwość i konieczność, stałych recenzji radiowych w naszej prasie periodycznej i codziennej?” pyta autor.

Klub zmarł niesławną śmiercią. Nie wiem jakie były istotne powody, wydaje mi się jednak, że niesłuszne byłoby załamywanie rąk i kontemplacja sytuacji minionej. Próba nie powiodła się — nie istnieją jednak chyba powody dla których (po czterech latach!) nie można by jej powtórzyć. Zbadać przyczyny niepowodzenia, potraktować prześledzić tylko, jak doświadczenie, które jednak nie usprawiedliwia obecnego bezwładu.

Wysuwane były już zastrzeżenia w stosunku do prasy — brak zainteresowania, obojętność itp. Bądźmy jednak sprawiedliwi i stwierdźmy, że i radio nie jest bez winy. Nie widziałem jeszcze w redakcji komunikatu, któryby np. podawał informacje o najciekawszych audycjach przyszłego tygodnia. Nie widziałem ani jednego zaproszenia na ani jedną tzw. konferencję prasową nie mówiąc już o specjalnej dyskusji, poświęconej wybranemu zagadnieniu. Być może po prostu dlatego, że ich dotychczas w ogóle nie było.

Ale czy jest to słuszne? W czym interesie leży zdynamizowanie prasy? Chyba przede wszystkim radia. I radio powinno zwrócić jak największą uwagę i skupić wysiłki na zrobieniu wyłomów w dzisiejszym szczelnym płotku otaczającym je, tak, by wiadomości zaczęły wreszcie przenikać na — jak to bywa pięknie określane — łamy prasy. Nie podlega chyba dyskusji, że to co się (jedyne) na tych łamach prasy pojawia regularnie — program — nie stanowi niczego, jest łatwiną, machinalnie urodzonym i kontynuowanym kompromisem obu stron — prasy i radia. Gdzie tu mówić o pośrednictwie między twórcą i odbiorcą, o kształtowaniu opinii publicznej, czy też wpływie na twórcę — czy wreszcie nawet po pro-

stu o uaktywnieniu olbrzymiej masy słuchającej tego co wpadnie w ucho w momencie odkręcenia gałki aparatu.

Wydaje się, że właśnie dzisiaj, w obecnych warunkach, tym bardziej powinno zależeć radiowcom na jak najszerszym kontakcie ze słuchaczem, że doświadczenie nabyte przed wojną i tradycja (jeżeli w ogóle możemy uważać że tych kilkanaście lat wystarczyło by zbudować jakikolwiek całokształt podstaw teoretycznych) nie wystarczają w roku 1950, że np. radio na wsi, radio dla robotnika to zagadnienia bardzo specjalne i świeże, zagadnienia których rozwiązanie nie tylko że mchem nie obrosły ale dotychczas jeszcze nie urosły, nie dojrzały — nie zastępy wciąż kłopot i szukają nowych form.

„Rozwój polskiej radiofonii na przestrzeni pięciolecia, utworzenie CUR-u, rola społeczno - wychowawcza, która przypada naszej Instytucji w wielkim dziele przebudowy Polski, oraz nowatorska, ofiarna praca mas ludowych — zobowiązuje nas do zrewidowania stylu pracy.” Zobowiązuje do systematycznego, zespołowego wysiłku, mającego na celu pełną realizację planów i kontrolę ich wykonania” pisze redakcja we wstępie do „Przeglądu Radiowego”. A więc rewidując postarajcie się również zlikwidować odłogi — martwe szpalty dzienników ożywić dla radia, zdobyć dla siebie całe kolumny. Uderzcie na prasę. Zdobywajcie słuchacza nie tylko akcją bezpośrednią przez mikrofon ale i flankowym atakiem słowa drukowanego.

Spośród przytoczonych przez E. Burego przyczyn obojętności ludzi pióra na produkcję radiową żadna nie wydaje się istotna. Wspomniane trudności są tylko trudnościami technicznymi i mogą zostać przezwyciężone. Stwierdzenie o braku umiejętności słuchania radia może być jednocześnie zarzutem — właśnie uaktywnienie słuchacza i podanie mu za pomocą wszelkich środków informacji powinno być jednym z pierwszych celów i zadań radia. Przewaga wzrokowców nie oznacza braku słuchowców. Brak znajomości rzemiosła — krytycy nigdy i nigdzie nie rozdził się na kamieniu, początki zawsze były trudne (— wystarczy np. przeczytać pierwsze recenzje filmowe! —), jest to zjawisko nieuniknione wobec którego pierwszym krokiem jest umożliwienie poznania tajników radia. Niepowtarzalność audycji również może znaleźć rozwiązanie przez dopuszczenie recenzentów do uczestniczenia w próbach zorganizowania „nasłuchów” poprzedzających właściwe nadanie audycji itp.

Dla pism tygodniowych nie jest konieczny tak ścisły kontakt z bieżącą pracą radia (mogą one zwrócić uwagę na omawianie zagadnień teoretycznych) jak dla pism codziennych. Tu jednak wymagane są informacje wyprzedzające audycję, przede wszystkim na aktualnych informacjach i omówieniach skupia się praca dziennika. Nieodzowny jest serwis radiowy, rodzaj biuletynu służącego za podstawę do notatek prasowych. Ale zarówno w jednym jak i w drugim wypadku, by pisma mogły spełnić swoją rolę, by zainteresowały czytelnika konieczne są wstępne „nasłuchy” na których zainteresowani mogliby się zaznajomić z projektowaną audycją, zdobyć materiał do omówienia czy recenzji, która mogła ukazać się przed nadaniem audycji.

Pole do pracy stoi otworem przed kórmką prasową P.R. Bez pomocy radia nie zostanie osiągnięta aktualność informacji, nie powstanie recenzja radiowa, która byłaby czytana i to czytana z zainteresowaniem.

LESZCZ

\*) podkreślenie wg. oryginału.

# Burżujstwo i „Po prostu“

## Ilustracja w oczach estetyka

(Dokończenie ze str. 9-ej)

„Funkcja społeczna burżuazji — rozpoczyna swą notatkę o „Burżuazym pojmowaniu burżujstwa“ w „Po prostu“ Nr 11 (97) p. A. W. — od dawna już skompromitowana została do tego stopnia, że wszelkie próby obrony jej społecznego stanu posiadania ze strony jej ideowych posługaczy odbywają się nie wprost lecz poprzez finezyjną i zawołowaną kombinację środków obywatelskich“.

A dalej — „Nie trudno się zorientować we właściwym charakterze tej zakłamanej krytyki: napiętnowała ona „burżujstwo“ — co było koniecznym ustępstwem wobec ogólnie ugruntowanej kompromitacji — ale z pojęcia tego uczyniła nic nie znaczącą abstrakcję, smażąc przy jednym ogniu dwie pieczenie: odwracając uwagę od społecznych materialnych, klasowych źródeł „burżujstwa“ i przerzucając zarazem ciężar pojęcia na proletariat. Precz z burżujstwem — krzyczęli w latach 1910 — 1920 zakłamani mistyfikatory burżuazyjni, wykonujący gesty fikcyjnego postępu społecznego. Precz z międzynarodową szajką burżujstwa — ryczała demagogicznie propaganda hitlerowska usiłująca odtumaczyć proletariat“.

Ten oto wstęp służy p. A. W. do sformułowania następującego sądu: „Burżujstwo — pisze p. Stomma w jednym z ostatnich numerów katolickiego miesięcznika „Znak“ — to nie kategoria ściśle socjologiczna, ale pewien styl życia, pewna postawa życiowa. O rozwinięciu się tej postawy nie decyduje bynajmniej przynależność do klasy. „Burżujstwo“ to — a) materializm praktyczny, b) płytki optymizm, c) postawa statystyczna i konsumpcyjna. Jest to pojęcie — w/g p. Stommy — zarówno szersze jak i węższe od klasy społecznej. Oto głos jednego z ostatnich organów myśli burżuazyjnej w Polsce. Na szczycie funkcja społeczna tego głosu w Polsce Ludowej jest inna niż oszukańczych manewrów burżuazji w latach I Wojny Światowej i w latach ofensywy faszyzmu“.

W ten sposób w 13-tu wierszach rozprawia się p. A. W. z głębokim i pełnym wnikliwej analizy artykułem dr Stommy („Na czym polega burżujstwo „Znak“ Nr 20).

Proszę dokładnie porównać przytoczony tu dosłownie tekst notatki p. A. W. z następującym autentycznym fragmentem piętnowanego artykułu.

— „Użyty w tytule wyraz „burżujstwo“ wymaga jednak pewnych komentarzy. „Burżujstwo“ niekoniecznie znaczy tyle co „mieszczaństwo“, w sensie cech stanu mieszczańskiego. Nie zawsze wiąże się to z podziałem klasowym. Przez „burżujstwo“ rozumiemy tu pewien styl życia i pewną postawę życiową. W tym sensie „burżujstwo“ szczególnie się rozwinięło i zakorzeniło w klasie mieszczańskiej, zwłaszcza na przestrzeni XVIII i XIX stulecia, z tego podłoża klasowego wywodzą także i swoją nazwę. Jest także oczywiste, że postawa ta w dużej mierze zdeterminowana została przez obiektywne warunki bytowania warstwy mieszczańskiej. Jednak „burżujstwo“ jako postawa nie pokrywa się zakresowo z pojęciem klasy mieszczańskiej. Zjawiska te nie są adekwatne. Postawa burżuazyjna jest zjawiskiem zarówno szerszym jak i węższym od zakresu klasy społecznej. Na przestrzeni ostatnich dwustu lat postawę tę przyjęły w dużej mierze także i inne warstwy społeczne. U

nas szczególnie mocno zaznaczyło się to w klasie ziemiańskiej, co właściwie nie znalazło swój wyraz w twórczości Henryka Sienkiewicza w jego „Rozdzinie Połanieckich“ (podkreślenia moje — T. M.).

Właściwie na zestawieniu tych dwóch fragmentów możnaby po prostu przestać. Czytelnik dostrzeże jak „wiernie“ publicysta „Po prostu“ oddał w swej notatce myśli krytykowanego artykułu. Ale spróbujmy jeszcze wytłumaczyć p. A. W. kilka spraw „opatologicznie“.

A więc:

1) Stomma używa wyrazu „burżujstwo“ na oznaczenie postawy życiowej w odróżnieniu od wyrazu „burżuazja“, który określa klasę społeczną, będącą tej postawy głównym носителеm.

2) Artykuł dr Stommy zajmując się nie bezpośrednią krytyką klasy, ale krytyką postawy życiowej nie odrywa bynajmniej tej postawy od klasy, w której się ten styl życia głównie rozwijał („jest także oczywiście, że postawa ta, w dużej mierze zdeterminowana została przez obiektywne warunki bytowania warstwy mieszczańskiej“). Stwierdza on jedynie, że postawę tę przyjmowały również inne warstwy społeczne. Artykuł Stommy nie „przerzuca ciężaru pojęcia na proletariat“, przeciwnie, mówiąc o szerszym zakresie postawy wskazuje wyraźnie na warstwy posiadające.

3) p. A. W. ostrą, głęboką krytykę „burżujstwa“ przeprowadzoną przez Stommę wiąże z „obroną społeczną stanu posiadania“ — burżuazji — „ze strony jej ideowych posługaczy“ (!)

Nie stawiajmy rzeczy na głowie! Autor krytykowanego przez p. A. W. artykułu omawia postawę „burżuj-

stwa“, zestawiając ją z ideałami katolicyzmu. Z tego zestawienia wyciągnął wnioski jak najbardziej krytyczne. Stwierdził wręcz, że postawa ta z katolickim ideałem nie ma nic wspólnego. Nie odwracał uwagi od społecznych źródeł postawy, ale wskazywał, że jej skutki rozciągają się w zupełności z ideałami katolickimi. Co daje p. A. W. prawo do postawienia znaku łączności między rzetelną krytyką „burżujstwa“ przeprowadzoną przez Stommę, a „obroną ekonomicznego stanu posiadania burżuazji“ — pozostanie jego prywatną tajemnicą.

Te „opatologiczne“ uwagi oczywiście nie wyczerpują zagadnienia. Wszystko to może być dyskutowane. Można robić takie lub inne zarzuty artykulowi. Można z nim dyskutować, ale nie wolno zamiast rzeczowej krytyki posługiwać się jawnymi uproszczeniami. Stosowana niezmiennie przez „Po prostu“ w odniesieniu do wypowiedzi katolików metoda rozumowania w kategoriach czarne — białe, nie może się przyczyniać do jakiegokolwiek rzeczowej dyskusji.

Chodzi tu przytem o rzecz zasadniczą. Rzeczywista troska o sprawy człowieka pozwala współdziałać w realizacji tych celów, które są wspólne, niezależnie od różnic światopoglądowych. Tej płaszczyzny wspólnego zrozumienia nie wolno w sposób szkodliwy rozbić nieprzeświadczanymi wypowiedziami, w których brak argumentów rzeczowych zastępuje się uproszczeniami.

To jedna sprawa. Druga to to, że podawanie myśli autora, z którym się polemizuje w specjalnie dla ułatwienia polemiki spreparowanym nawiązaniu — nie należy do metod godnych uznania. Raczej współczucia.

Tadeusz Mazowiecki

## C o p i s z a k i n n i...

W 3 numerze „Nowej Kultury“ znajdujemy 4 artykuły o Majakovskim (Ważka, Pollaka, Sandaera, Kirsanova), oraz tłumaczenia utworów poety. W artykule redakcyjnym pt. „Komuniści i katolicy wspólnie bronią pokoju“, czytamy oświadczenie wybitnego marksisty francuskiego Roger'a Garaudy, który powiedział m. in. „Powinniśmy się zbliżyć do katolików takich, jakimi są, a nie jakimi chcielibyśmy ich widzieć. Potrafimy uszanować również takie uczucia i troski, jakich nie dzielimy“. Jerzy Pański pisze „O Rewolucji kulturalnej“ w związku ze zbliżającym się Tygodniem Oświaty, Książki i Prasy. Tak przedstawia się poważna część numeru.

Część humorystyczną reprezentuje ostatnia strona oraz — zdaje się — artykuł Ludwika B. Grzeniewskiego z intrygującym tytułem „Ku czyjej chwale?“, który ma stanowić recenzję z książki Bruce Marshall'a: „Chwała Córy Królewskiej“. Treść artykułu jest niewątpliwie sensacyjna. Końcowy wniosek (jak nas uprzedza autor) — „jednoznaczny“: Marshall pisze ku chwale kapitalizmu, jego książka jest wsteczna i szkodliwa. — A oto „argumentacja“:

Recenzent pisze, że Marshall wobec sprzeczności kapitalizmu propaguje jakąś „reformę“, która w istocie jest sojuszem z imperializmem, gdyż właściwie ten obłudny pisarz w głębi duszy aprobuje kapitalistyczny „status quo“. Tyle recenzent. — Natomiast bohater Marshall'a, ks. Smith takie słowa wypowiada w czasie drugiej wojny światowej, słowa określające jego stosunek do świata kapitalistycznego: „Tak czy owak, życzyłbym sobie bardzo, żeby po-

liticy przestali nas uważać za zgraje idiotów... W tej krwawej walce tysiące ludzi zmarnieją w samotności, a nowa Europa, której dadzą życie, zryją prawdopodobnie tłuste świnie, które zostały w domu, zbijały pieniądze i paliły cygara. I cały ten kant z walką o wolność. Czy górnik jest wolny? Czy robotnik jest wolny? Czyż wszelka wolność nie zależy od okoliczności gospodarczych?“ — Recenzent nie zauważył widocznego takich fragmentów. Co jest tym bardziej dziwne, że ks. Smith zajmuje przez cały czas takie samo stanowisko nieprzejednanej wrogości wobec krzywdy społecznej, choć może się czasami mylić w sądach politycznych, a nawet wygłaszać pewne naiwne twierdzenia o wynalazkach... Recenzent jednak pragnie, aby pozytywny bohater był niewzruszonym monolitem intelektualnym, który wobec każdej sytuacji ma od razu doskonałą receptę i nie zna nigdy żadnych wahań czy pomyłek. My jednak mamy trochę odmienny pogląd na rolę literatury niż recenzent i uważamy, że nawet powieść „z tezą“ powinna różnić się czymś od publicystyki.

W czym recenzent „odczytał“ aprobatę kapitalizmu? — We fragmencie, w którym ks. Smith nawracaającego marynarza. W tym wypadku komentarz recenzenta jest naprawdę niepokojący, bo świadczy chyba o jakimś dziwnym kompleksie. Recenzent nie rozumie, dlaczego ks. Smith chciał ratować duszę marynarza, podobnie jak zapewne nigdy nie słyszał, co mówi teologia katolicka o ludziach, którzy by chcieli rolę przedśmiertnej spowiedzi interpretować tak obłudnie, jak on to uczynił. Odczuwamy praw-

mina encyklopedycznie o Mercatorach, wydawcach głośnych atlasów i map w Amsterdamie; nie zapomina też o Merianach w Niemczech a twórczość naszego miedziorytnika Daniela Chodowieckiego (17 w.) słusznie podnosi do miana sztuki artystycznej. Osobny rozdział autor poświęca miedziorytowej ilustracji polskiej.

Estetyki w nim jest niewiele, kulminuje wydatnie historia. A szkoda, bo estetyczne rozważania Banacha są znacznie ciekawsze, niż jego historyczne wywody.

Po onumerowaniu nazwisk zasłużonych na tym polu ludzi (ks. Tomasz Tretter, Jan Ziarno, Jeremiasz Falck), z których każdy posiada króciutki komentarz, autor porusza o akwafortę (Filip Choffard, Fr. Boucher, ilustrator komedii Moliere), ale już w skali ogólnoeuropejskiej. Teraz następuje litografia. Wynaleziona przez Alois Senefeldera (początek 19 w.), powstała i rozwinięła się w toku poszukiwań technicznych, w zamiarach czysto gospodarczych. Ilustracje tego typu są wykonywane masowo, dlatego ich wartość estetyczna nierzadko równa się zeru. Są atoli wyjątki. We Francji ilustracje litografowe Daumiera, Delacroix, Gericaulta, w Niemczech Menzla, a w Polsce Wysockiego odznaczają się wysokim poziomem artystycznym, zarówno w formie jak w treści. Obok litografii w połowie 19 w. odradza się drzeworyt, unowocześniony przez Anglika, Tomasza Bewicka (tzw. drzeworyt sztorcowy), który poprzez swoją odmianę — drzeworyt tonowy — wprowadza technikę fotochemiczną. W tym czasie — konstatuje autor, gdy w literaturze „grasował“

romantyzm, a technika fotochemiczna stawiała pierwsze kroki (1840 — 1850 r.), książka otrzymała okładkę ilustrowaną. Jest b. ciekawe, że autor snując dalej swe rozważania na ten temat dochodzi do wniosku, że rozwój graficzny okładki następował pod dodatkim naówczas wpływem plakatu. W latach 1890—1910 artystyczny poziom technicznego wykonania książki podupada, aby odrodzić się na nowo, wskutek dodatknych „zabiegów“ Wyspiańskiego, Morrisa (książka harmonijna), Eug. Grasset.

Pod koniec swej pracy autor dość obszernie omawia ilustrację polską 19 w., wspominając także, w paru zresztą słowach, o stronie ilustracyjnej ówczesnych czasopism polskich („Kłosa“, „Przyjaciół Ludu“, „Tygodnik Ilustrowany“). W końcowych fragmentach książki Banacha znajdziemy jeszcze parę słów o ilustracji stalorytowej, litografii - offset, nastawionej na reprodukcję, natomiast nic nie znajdziemy o ilustracji par excellence współczesnej (1945—49 r.). Bo kilka reprodukcji rysunków Jarnuszkiewicza, Uniechowskiego, Wróblewskiej, zamieszczonych w książce, mówi na ten temat stanowczo za mało.

Gdy zamykamy już książkę, w myślach pozostają właściwie sprecyzowane przez autora zadania współczesnej ilustracji.

„Dobra ilustracja winna stworzyć warunki, w których nasza osobista wizja powstanie i rozwinię się swobodnie i pełnie“.

Na koniec wypada podkreślić świetną, wzorową wprost oprawę graficzną książki Banacha. Obfite marginesy, duża czcionka, dobre rozplanowanie ilustracji, wreszcie oryginalna numeracja stron (u dołu, z lewego boku kolumny), dla wielu naszych wydawnictw książkowych stanowią wzór niedościgniony. Szkoda tylko, że to podniosło cenę książki do kwoty 1.300 zł, przekreślając jej popularyzację. J. S.

NA ZAMÓWIENIA  
KIEROWANE

DO

ADMINISTRACJI

„DZIŚ i JUTRO“

SP. WYD. „PAX“

WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CORY

KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATĘ  
ZŁOTYCH 750 za EGZ.

NA KONTOKPOI-8515

LUB PRZEKAZEM  
POCZTOWYM